

KAROL MAY

SZATAN I JUDASZ

KŁĘSKA SZATANA

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „ORIENT” R.D.Z. W WARSZAWIE, WARSZAWA
1925**

POD ZIEMIĄ

Konie nasze ugiwały się pod ciężarem, ponieważ przezornie zaopatrzyliśmy się w żywność i pauzę, we wszystko, co było niezbędne m trzy, cztery dni. Między rzeczami, które — jak należało przypuszczać — mogły nam się przydać, zabraliśmy również paczkę świec i pęk długich woskowych pochodni. Znaleźliśmy spory ich zapas na wozie. (Ponieważ używa się ich do pracy podziemnej, przeto Melton nabył je od kupca w Ures). Ponadto były tam jeszcze trzy beczułki z oliwą palną. Wskazywało to, jak zresztą wiele innych okoliczności, że Melton szczegółowo przygotował swój biznes, zanim jeszcze dobił targu z hacjenderem, i Oczywiście, zanim rozstałem się z Winnetou, wtajemniczyłem go w swoje plany, aby mógł mnie łatwo odszukać, gdybym nie wrócił po czterech dniach. Przede wszystkim więc powiedziałem Apaczowi, że zamierzam zbadać jaskinię Playera i podziemny korytarz, odkryty przez Herkulesa.

Ponieważ poprzedniego dnia zboczyliśmy z właściwego kierunku, więc musieliśmy — ja i Mimbrenio — wrócić na ostatni odcinek drogi. Z zadowoleniem stwierdziłem brak śladów po koniach i wozach. Jeżeli nawet gdzieś dały się zauważyć odciski, to można było przypuszczać, że dzień, który obecnie wschodził, zadrze je doszczętnie. Teraz byłem przekonany, że ewentualni wywiadowcy Meltona nie znajdą śladów naszego obozowiska. Po blisko czterogodzinnej jeździe na południe skierowaliśmy się na wschód i wkrótce dotarliśmy do zapowiedzianej przez Playera granicy roślinności. Stąd zaczynała się pustynia. Zatrzymaliśmy wierzchowce, aby je nakarmić, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy przez prawdziwą pustynię. Ziemia układała się w długie, niskie fale, oddzielone od siebie płytkimi wgłębieniami. Dookoła były skały, kamienie lub piasek. Ani żdźbła trawki. Nagi kamień ssał promienie rozognionego słońca, dopóki się nie nasycił. Żar drżąco wibrował na wysokości czterech czy pięciu stóp nad, ziemią. Trudno było oddychać. Pot parował z całego ciała. Pędziliśmy bez wytchnienia; aby przybyć do Almaden przed zapadnięciem zmroku.

Nie rozmawialiśmy ze sobą. Mimbrenio nie ośmielił się do mnie przemówić, a jednostajność drogi nie skłaniała do rozmowy. Jechaliśmy w milczeniu, dopóki sobie nie uświadomiłem, że Almaden leży na północ od nas. Skręciliśmy przeto w tym kierunku, badając grunt w poszukiwaniu tropu.

Kiedy słońce zniżało się ku zachodowi, wyłoniła się przed nami w oddali niska, jednakże ostro od horyzontu odcinająca się skała, olbrzymiejąca w miarę, jak się do niej zbliżaliśmy.

— To na pewno Almaden — rzekłem. — Teraz należy podwoić czujność.

— Czy mój wielki brat Old Shatterhand zsiądzie z konia? — zapytał nieśmiało Mimbrenio.

Jeźdźca o wiele łatwiej spostrzec niż piechura. Wprawdzie sam zrezygnowałbym z jazdy w siodle, ale cieszyła mnie jego uwaga, ponieważ dowodziła roztropności. Zsiadliśmy z koni i prowadząc je za uzdy, poszliśmy naprzód. Kroczyliśmy po płaskim gruncie, który niby pierścień okalał Almaden. Doszliśmy do brzegu wgłębienia, pośrodku którego ono wyrastało. Mówiąc ściślej, staliśmy na brzegu wyschłego jeziora ze skalistą wyspą, która dziś nosiła nazwę Almaden.

Wskutek jednostajności okolicy mimo woli zboczyłem z kierunku; do Almaden dotarliśmy nie z południowej, lecz z południowo-zachodniej strony. Było to niebezpieczne. Przypuszczałem bowiem, że Indianie wypatrują nas od strony zachodniej, ale za to pozwoliło mi od razu ujrzeć skałę, o której opowiadał Player i Herkules, a którą musiałbym w innym wypadku dopiero odszukiwać.

Ogromny blok skalny, sterczący z dna wyschłego jeziora, u góry był płaski i tworzył niemal prawidłowy sześciąt, o ścianach biegnących prawie dokładnie w czterech kierunkach wiatrów. Ponieważ stanęliśmy przy południowo-zachodniej krawędzi, widzieliśmy przeto stronę

południową i zachodnią. Pierwsza wznosiła się prosto, miała wszakże głębokie rysy na powierzchni, pośrodku zaś tunel, który jak łatwo było zauważyć, biegł pod górę. Potwierdzało to słowa Playera, że płaskowzgórze jest dostępne z południowej i północnej strony.

Moglibyśmy tam dotrzeć po dziesięciu lub piętnastu minutach marszu, nie odważyłem się jednak, aczkolwiek nie widać było dookoła żywej duszy. Na górze na pewno czuwalili ludzie i mogliby nas szybko spostrzec.

Przede wszystkim należało wy badać, gdzie są Indianie. Naturalnie, sam się tego podjąłem, chłopca pozostawiwszy przy koniach. Skradałem się na zachód wzdłuż brzegu byłego jeziora. Musiałem bardzo uważać, gdyż nic mnie nie kryło i gdybym kogoś spostrzegł, w tej samej chwili byłbym także dostrzeżony. Uszedłszy spory szmat drogi, zauważyłem na północno-zachodniej stronie małą rzadkie chmurki, które powoli wznosiły się, rozprzestrzeniały i niknęły. Był to niezawodnie dym, nieduży dym z indiańskiego ogniska, roznieconego na skąpym podkładzie drzewa. Szedłem jeszcze normalnie przez parę chwil, a następnie zacząłem biec jak zwierzę czworonożne.

Wkrótce zobaczyłem pięć czy sześć namiotów, koło których krzatali się ludzie. Gdybym chciał jeszcze bliżej podejść, musiałbym się czołgać na brzuchu. Od namiotów dzieliła mnie odległość tak mała, że z łatwością rozpoznałem zdobiące je malowidła. Leżąc obserwowałem obozowisko.

Każdy Indianin maluje na namiocie, przynajmniej na letnim, swoje imię lub obraz, przedstawiający szczególne zdarzenie z życia. Na jednym więc wił się olbrzymi na czerwono wymalowany wąż. Na drugim widniał koń, na innym niedźwiedź. Między namiotami kręcili się Indianie lub też siedzieli na ziemi, paląc fajki. Dwie włócznie opierały się o namiot z węzom. Był to zapewne namiot wodza.

Wiedziałem już, gdzie obozują Jumowie. Chciałem się wycofać, kiedy troje osób, dwóch mężczyzn i kobieta, wyszło z owego namiotu. Kobietę poznałem od razu: była to Judyta. Jednym z mężczyzn był Melton, drugim Indianin, niewątpliwie mieszkaniec namiotu. Rozmawiali przez chwilę, po czym Indianin wrócił do siebie, Melton zaś z Judytą poszedł dalej.

Dokonawszy rozpoznania, mogłem wrócić do obozowiska. Z początku czołgałem się na brzuchu, potem, pobiegłem na czworakach, wreszcie na nogach? Słońce skryło się za widnokregiem i zapadł zmierzch. Szczęśliwie dotarłem do koni. Musieliśmy wykorzystać krótki czas, kiedy jest ciemno na tyle, aby nie być widocznymi, a dość jeszcze jasno, aby bez wielkiego trudu odkryć wejście do jaskini.

Kiedy nadeszła taka chwila, zjechaliśmy w dół, na dno wyschłego jeziora. Dotarłszy do skały, zaczęliśmy usuwać kamienie. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą dziurę, która coraz bardziej się rozszerzała. (Kiedy była już dość pokaźna, zapaliłem woskową pochodnię i zląłem w dół do jaskini. To obszerne wydrążenie dokładnie odpowiadało opisowi Playera. Miało wysokość dwóch ludzi i z łatwością mogło pomieścić stoi. W małej bocznej jaskini zebrała się bardzo zimna woda. Zbadanie dna odłożyłem na później, gdyż przedtem musiałem wprowadzić konie.

Trzeba więc było powiększyć wejście. Robota oczywiście niezbyt przyjemna, lecz uporaliśmy się z nią szybko i przeprowadziliśmy bez trudu wierzchowce. Kiedy napoiłszy je i nakarmiliśmy, mogłem zbadać dno jaskini, a raczej obejrzeć je, ponieważ patrzenie w przepaść nie jest żadnym badaniem. Była to prawdziwa otchłań. Gdy rzuciłem kamuszek, usłyszałem dopiero po dłuższej chwili słaby odgłos, uderzenia o dno.

Player nie mógł określić ani szerokości ani głębokości, ponieważ nie miał światła. Natomiast moja pochodnia świeciła tak jasno, że stojąc na jednym brzegu, widziałem wyraźnie przeciwległy. Ciemność oszukała Playera, ja zaś wiedziałem, że przepaść nie jest szersza nad dziesięć, jedenaście łokci. Tymczasem młody Mimbrenio ukląkł i badał grunt. Dłubał palcem, później zaczął skrobać nożem.

— . Czy Old Shatterhand zechce zobaczyć, że tu znajduje się dołek? — rzekł, klingą wykrobawszy ziemię.

— Utworzyła go woda kapiąca ze sklepienia — odpowiedziałem.

— W tym wypadku wydrążenie byłoby okrągłe. Tak jednak nie jest.

— Zobaczymy.

Nachyliłem się i pomogłem mu grzebać. Istotnie. Czworokątny, na łokieć głęboki dołek.

— Poszukajmy, czy nie ma gdzieś drugiego — rzekłem.

Wkrótce odkryliśmy trzy inne. Usunęliśmy ziemię, która je pokrywała. — Mimbrenio spojrział na mnie pytająco. Ośmieliłem go przeto:

— Jeśli mój młody brat chce coś powiedzieć o tych wgłębieniach, to proszę, niech mówi.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł. — Draży się w ziemi dołki po to, aby w nich coś schować. Co jednak mogło tkwić w tych oto wgłębieniach? Old Shatterhand wie zapewne.

— Nietrudno się domyślić, ale język mego brata nie ma na to nazwy. Czy wiesz, czym jest kołek lub klamra?

— Nie wiem.

— Drzewo lub żelazo, które wbite w ziemię przytrzymuje największe ciężary. W danym wypadku ciężarem był most nad przepaścią. Bez wątpienia na drugim jej brzegu pozostały takie same cztery dołki.

— Ale gdzie się podział most?

— Nie ma go już. Zapewne ci, którzy z niego ostatnio korzystali, stracili go w przepaść. Zależało im na tym, aby nikt nie mógł przedostać się na drugą stronę. W tym celu zatknano też dołki. Ale oczy mego młodego brata są ostre i przenikliwe.

— Nie oczy, lecz stopy wyczuły, że ziemia w tym miejscu jest bardziej miękka niż gdzie indziej. Gdyby most stał jak dawniej, moglibyśmy przejść na drugą stronę.

— Przejdziemy i tak. Dostaniemy się do tunelu, który wylot ma na płaskowzgórzu, lecz myślę, że posiada również inne zamaskowane wejście. Trzeba je odszukać.

— Kiedy? Dziś wieczór?

— Nie, jutro. Wejście jest zatknane i po omacku nie potrafię go znaleźć, światła zaś zapalać nie można. Poradzimy sobie przy świetle dziennym. Tymczasem posilimy się, a potem wyjdę na zwiady.

— Czy Old Shatterhand zabierze mnie ze sobą?

— Nie. Z przyjemnością zabrałbym cię, lecz musisz zostać przy koniach.

— Tu są bezpieczne. Jumowie ich nie znajdą.

— Istotnie, ale konie nie są obeznane z miejscem. Mogą się spłoszyć.

Chłopiec musiał zostać. Po spożyciu owocowej wieszery ruszyłem na zwiady. Niewiele spodziewałem się odkryć w takich ciemnościach. Dobrnąłem do północnego krańca skały i usiadłem na kamieniach, czekając, aż gwiazdy rozbłyszczą jaśniej.

Siedziałem może godzinę. Dookoła panowało głucho milczenie. Gwiazdy, dotychczas blade, roziskrzyły się pełnym blaskiem. Zamierzałem już powstać i pójść naprzód, gdy w pobliżu usłyszałem czyjeś kroki. Przypuszczając, że nadchodzący przejdzie koło mnie, schroniłem się za głazem. Po chwili istotnie ujrzałem Indianina, który przystanął nie opodal mego ukrycia i uważnym wzrokiem powiódł dokoła. Nie widząc nikogo westchnął, zbliżył się jeszcze bardziej i usiadł na kamieniu, w odległości paru kroków ode mnie.

To było fatalne, fatalne w najwyższym stopniu. Kamienie były tak rozstawione, że nie mogłem wycofać się bez szmeru. Nie pozostawało mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać na jego odejście.

— Uff! — zawołał po długiej pauzie Indianin stłumionym głosem. Podniósł się z kamienia i podążył kilka kroków naprzód. Ktoś nadchodził. Rozpoznałem Judytę. Ukryty za kamieniem, podsłuchiłem niezwykle ciekawą rozmowę,

Indianin nazywał siebie Przebiegłym Wężem. Był więc mieszkańcem namiotu, który widziałem, i dowódcą trzystu Jumów, którzy tu obozowali. Władał angielskim i hiszpańskim w sposób jak na Jumę niezwykle, ona zaś nie posiadała ani w dwudziestą część jego wiedzy; nie umiała też słowa po indiańsku. Mimo to porozumiewali się doskonale.

Wziął ją za rękę i rzekł:

— Przebiegły Wąż już sądził, że Biały Kwiat nie przyjdzie. Dlaczego kazałaś mi czekać?

Musiał swoje pytanie kilkakrotnie w rozmaitej formie powtórzyć, zanim zrozumiała i odrzekła:

— Melton mnie zatrzymywał. Teraz on nie rozumiał. Powtórzyła słowa i zobrazowała myśl znakami.

— Co teraz robi? — zapytał Przebiegły Wąż.

— Śpi — wyjaśniła raczej pantomimicznie niż słownie.

— Czy Melton sądzi, że Biały Kwiat również śpi?

— Tak.

— W takim razie jest głupcem, słusznie oszukanym, ponieważ sam pragnie oszukiwać. Biały Kwiat nie powinna mu wierzyć. Okłamuje ją, nie dotrzyma danego przyrzeczenia.

Każdemu zdaniu towarzyszyły liczne gesty wyjaśniające. Ponieważ przedstawienie prawdziwego przebiegu rozmowy byłoby uciążliwe zarówno dla mnie, jak i dla czytelnika, więc opiszę ją tak, jak gdyby oboje porozumiewali się gładko.

— Czy wiesz, co mi Melton przyrzekł?

— Wyobrażam sobie. Czy nie powiedział ci, że otrzymasz wielkie skarby?

— Tak. Melton sądzi, że na tej skale zarobi milion. Wówczas zostanie jego żoną, będę miała brylanty, perły i wszelkiego rodzaju kosztowności, zamek w Sonorze i pałac w San Francisco.

— Nie dostaniesz ani klejnotów, ani złota, ani pałacu. Melton dużo zarobi, ale nic z tego nie będzie posiadał.

— Jak to?

— To jest nasz sekret. Ale gdyby nawet stało się tak, jak on pragnie, ty byś nic z tego nie miała. Jesteś jedynym kwiatem na tym ustroniu, dlatego myśli o tobie. Kiedy zobaczy inne, ciebie porzuci.

— Niech się tylko ośmieli! Zemszczę się i wyjawię wszystkie jego występki.

— Nie będziesz mogła. Tu można łatwo zdeptać kwiat, który wyblakł, a stał się niebezpieczny. Wierz mi, żadna z twoich nadziei przy nim się nie spełni.

— Mówisz tak, ponieważ chcesz mnie pojąć. Daj mi dowód.

— Przebiegły Wąż może ci dowieść. Powiedz, dlaczego pozwoliłaś zesać ojca do podziemi?

— Ponieważ miał zostać nadzorcą i zarobić sporo pieniędzy.

— Ojciec twój jest związany jak inni, musi pracować jak inni i nie otrzymuje lepszego pokarmu niż inni. Wiem, że obiecano go wypuszczać od czasu do czasu z szybu, aby mógł się z tobą widzieć i odetchnąć świeżym powietrzem, lecz przyrzeczenie to nie będzie spełnione.

— Zmuszę Meltona, aby dotrzymał słowa!

— Nie wierz! Nad takim mężczyzną tysiąc najpiękniejszych kobiet świata nie mogłoby uzyskać żadnej władzy. Zażądaj spotkania z ojcem, a przekonasz się, czy pozwoli na nie.

— W takim jazie porzucę go!

— Spróbuj — zaśmiał się czerwonoskóry — uwięzi cię we wnętrzu skały, gdzie twoją piękność i zdrowie pożre trucizna rtęci. To kłamca, powtarzam. Moje serce natomiast szczerze myśli o tobie. Dam ci słowo na to, co on kłamliwie przyrzeka. Gdybym chciał, byłbym o wiele, o wiele bogatszy od Meltona.

— Bogaty Indianin?! — roześmiała się Judyta.

— Wątpisz? My jesteśmy prawymi posiadaczami kraju, którego gwałtem pozbawiają nas biali. Przy naszym trybie życia, co nam po złocie, srebrze, skarbach! Wiemy jednak, gdzie się

złoto znajduje w olbrzymich ilościach, a nie powiemy tego białym. Lecz gdyby Biały Kwiat chciała zostać moją squaw, dałbym jej tyle złota i srebra, ile zapragnęłaby; dałbym to wszystko, co Melton przyrzekł obłudnie.

— Czy naprawdę? Dużo złota, klejnotów, pałac, zamek, piękne szaty i wiele służby?!

— Wszystko, wszystko, czego zapragniesz! Mógłbym cię uczynić moją squaw wbrew twojej woli, gdyż my, Indianie, porywamy dziewczęta, których inaczej nie możemy dostać. Lecz ty zostań moją squaw dobrowolnie. Nie użyję przemocy. Poczekam, aż sama oddasz mi serce. Czy nie uczynisz tego już teraz?

Powstał, skrzyżował ręce na piersiach i oglądał ją badawczo. Milczała. Chętnie przystałaby na miłośćkę z pięknym, młodym wodzem, nie kłopotąc się o następstwa. Lecz on żąda, aby została jego, żoną. Czyżby rzeczywiście Melton chciał ją oszukać? Czy naprawdę Indianin mógłby się wzbogacić, gdyby zechciał?

Indianin stał przed Judytą, wbijając w nią ostre spojrzenia, jak gdyby usiłował wyczytać najskrytsze jej myśli. Po dłuższym milczeniu wreszcie rzekł:

— Wiem, o czym myśli Biały Kwiat. Kocha bogactwo, przyjemności miejskiego życia wśród bladych twarzy. Czerwonoskóry posiada tylko namiot, konia i broń. Mieszka w lasach i sawannach i nie rozumie się na sztukach i rozkoszach białych ludzi. Jakże byś więc mogła zostać squaw Indianina? Czyż nie o tym myślałaś?

— Tak.

— Wierz mi, będzie inaczej, gdy zechcesz. Powiedz tylko tak, a natychmiast pójde spełnić twoje życzenia. Moja ręka nie dotknie twojej, zanim nie przyniosę tyle złota, ile zapragniesz.

To na nią podziałało

— Mógłbyś naprawdę?! — zawołała. — Mógłbyś przynieść mi tyle złota?

— Mogę.

— A Melton, czy rzeczywiście mnie oszukuje?

— Wybadaj go, zażądaj widzenia się z ojcem. Ale nie mów nic o naszej rozmowie.

— Dobrze. Wypróbuję go. Jeśli nie uczyni zadość memu żądaniu, porzucę go i pójde do ciebie.

— Nie pozwoli. Zmusi cię, abyś pozostała w jego namiocie.

— Co zatem czynić?

— Czekać, tylko czekać, aż zgłoszę się po ciebie. Melton jest w naszej władzy. Zastrzelę go, jeśli wbrew twojej woli zechce cię dotknąć. Dopóki się nie zdecydujesz, przychodź tu co wieczór o tej samej porze. Jeżeli nie przyjdiesz, będę wiedział, że coś ci zagraża, i pójde do niego, aby cię zabrać.

— Czy dotrzymasz słowa?

— Przebiegły Wąż jest chytry, ciebie jednakże nie oszuka. Możesz na mnie polegać. Howgh!

Odszedł, nie uściskawszy nawet jej ręki. Ona zaś, kiedy się oddalił o trzy czy cztery kroki, skoczyła, pobiegła za nim i zarzuciła mu ręce dookoła szyi. Usłyszałem szmer pocałunku. Naraz cofnęła się i usiadła na kamieniu. Czy był to odruch wyrachowania? nagłego wzruszenia? czy może podziękowania z góry za złoto, które jej przyrzekł? Być może wszystko razem. Indianin stał przez chwilę oszołomiony, po czym zbliżył się do niej powoli i rzekł:

— Biały Kwiat dała mi dobrowolnie to, o co teraz nie ośmieliłbym się prosić. Niech wie, że odtąd nikt inny nie powinien jej pocałować. Z samego rana wypróbujesz Meltona. Jutro wieczorem tu powrócę. Biada Meltonowi, jeżeli Białemu Kwiatu uczyni coś złego. W podzięce za pocałunek powiem ci coś więcej. Otóż z bladych twarzy, które przyprowadziliśmy, jeden zginął. Był to wysoki, silny mężczyzna. Znasz go,

— Znam.

— Tak, znasz go lepiej niż innych.

— Skąd wiesz?

- Powiedziało mi spojrzenie, którym cię obrzucał. Czy kochasz go?
- Nie. Przyjechał tutaj za mną.
- Nie zmartwi cię więc wiadomość o jego śmierci?
- Nie żyje? Skąd wiesz?
- Wellerowie ścigali go i zabili. Dziobią go już sępy.

Trwała chwilę w milczeniu. Wreszcie zawołała:

- Bardzo dobrze, że się tak stało. Był mi obmierzły, pozbyłam się go nareszcie!
- Tak, nie wróci już. Do jutra. Howgh!

Oddalił się szybko. Zamyśliła się. Potem poruszyła końcami palców, jak zazwyczaj przy odpędzaniu złych myśli. Po cichu zaczęła nucić melodię, wreszcie wstała i poszła. Jakże łatwo mogłem poznać drogę na płaskowzgórzu. Trzeba było tylko iść za nią, lecz znając dobrze zwyczaje czerwonoskórych, wiedziałem, że Indianin jest w pobliżu. Zrezygnowałem z niebezpiecznej pokusy i wróciłem do jaskini, zadowolony z rezultatów tej krótkiej wyprawy nocnej.

Zbadać drogę mogłem później, na dziś było mi to niepotrzebne. To, co podsłuchałem, przynosiło mi więcej korzyści. Dzięki temu mogliśmy podążyć wprost do celu, a nie czekać na posiłki Mimbreniów, mających pokonać Jumów. Im dłużej myślałem, tym możliwszy wydawał mi się fakt, do niedawna jeszcze absurdalny, mianowicie, że sam, bez Winnetou, bez czyjejkolwiek pomocy, mógłbym osiągnąć swój cel, i to nie zdejmując strzelby z ramienia.

O świcie wzięliśmy się do pracy. Przysłoniłem kamieniami wejście do jaskini i zesliśmy no dół, aby wspiąć się na skałę z innej strony. Widzieliśmy stąd obozowisko Indian. Nie było w nim jeszcze śladu życia. Mimo to poruszałem się bardzo ostrożnie. Znalazłszy zakręty, wypatrzone przez Herkulesa, zatrzymaliśmy się przy właściwym. Poznałem go natychmiast, ponieważ otwór był źle zamaskowany. Miejsce to nie było widoczne z obozu Indian. Dlatego zachowywaliśmy się swobodnie, zrezygnowawszy z ostrożności.

Po usunięciu kamieni powstał bardzo obszerny otwór. Zesliśmy w dół po głazach, które Herkules ułożył w schody. Były obciosane, co zdradzało nieindiańskie pochodzenie tunelu, prowadzącego na ukos do podziemi.

Najpierw spenetrowałem prawą stronę tunelu, naturalnie korzystając ze światła pochodni. Po kilku zaledwie krokach dotarliśmy do przepaści, dzielącej nas od jaskini. Konie usłyszały nasze — głosy i podeszły aż do krawędzi. Spędziwszy noc w jaskini, przestały się lękać. Okrzykami pragnąłem odpędzić je od przepaści. Kiedy zawołałem na mojego Hatatitla: „Iteszkosz!” (Połóż się!) — rozkaz spełnił natychmiast. Koń Apacza położył się obok niego. Byłem więc pewien, że przed moim powrotem nie ruszą się z miejsca.

Znaleźliśmy na brzegu cztery dołki, odpowiadające dokładnie wczorajszym. A więc istotnie wisiał tu niegdyś most. Wróciliśmy, aby udać się w głąb tunelu. Wysokość jego była wyższa od przeciętnego wzrostu człowieka, a szerokość miała około trzech stóp. Na ścianach widniały ślady dłuta i świdra. Oporniejsze kamienie rozwalono dynamitem, a więc tunel był zbudowany przez białych.

Szliśmy coraz dalej, nie napotykając na przeszkody. Powietrze, wbrew oczekiwaniu, było wcale znośne. Ta okoliczność zwróciła moją uwagę na płomień pochodni, który z lekka się pochylał w kierunku korytarza. A więc istniała tu cyrkulacja powietrza. Świeży powiew szedł od zewnątrz w głąb tunelu. Czyżby tunel łączył się z szybem? Bardzo możliwe.

Uszliśmy przeszło trzysta kroków, gdy Mimbrenio wskazał na jakiś wmurowany kamień.

— Napis — rzekł — lecz nie indiański.

Oświetliłem wskazane miejsce i z łatwością odczytałem: Alonso Vatrugas of. en min. y comp. A.D. MDCXI. Uzupełniając skróty: Alonso Vargas, oficial en minas y companneros, Anno Domini MDCXI, co znaczy Alonso Vargas, górnik, oraz towarzysze w roku pańskim 1611. A więc dwieście pięćdziesiąt lat minęło od czasu, gdy dzielny górnik hiszpański wydrążył te

podziemia. Zanotowałem napis, ponieważ nie sądziłem dotychczas, aby Hiszpanie już wówczas przeniknęli do tak odległych okolic Meksyku, zwanego przez nich Nową Hiszpanią.

Szliśmy coraz dalej, aż do końca tunelu. Stanowił go mur kamienny. Aczkolwiek nie dostrzegłem w nim żadnego otworu, płomień pochodni był stale pochylony. Okazało się, że mur tworzył rodzaj rzeszota. Tam, gdzie zbiegały się kanty głazów, nie była cementu, wskutek czego powstały liczne, a niewidoczne otworki. Na jednym z głazów znalazłem napis: E. L. 1821. E. L. były to zapewne czyjeś inicjały, cyfra oznajmiała, że tunel został zamurowany w roku 1821. Być może w tym samym roku zdjęto most nad przepaścią i zamaskowano wejście do jaskini, ale w jakim celu? Otworki w murze pozostawiono, aby powietrze mogło swobodnie krążyć i aby późniejszego przybysza nie zadusiły nagromadzone gazy trujące.

Co mieliśmy czynić? Przez jakiś, czas nasłuchiwałem. Za murem ani szmeru. Odważyłem się zapukać. Żadnej odpowiedzi. A jednak serce moje skakało z radości. Wiedziałem bowiem, że za tym murem znajdę swoich ziomków. Jeśli tak miało być istotnie, jakże łatwo mógłbym ich uwolnić. Trzeba było tylko przedostać się przez mur. Trzeba było wydrążyć otwór odpowiedniej miary. Ale czym? Nie mieliśmy innych narzędzi prócz noży. W ciągu całego dnia pracy zdołalibyśmy usunąć tylko jeden głaz. Jednakże wziąłem się ochoczo do roboty. Mimbrenio dzielnie mi pomagał.

Pracowaliśmy dopóki pochodnie płonęły, a potem jeszcze po omacku. Zmęczeni wróciliśmy do jaskini, gdzie konie wciąż jeszcze leżały na tym samym miejscu. Teraz mogły się podnieść i posilić. A my, skoro tylko zażegnaliśmy głód, wróciliśmy do podziemi, biorąc ze sobą kilka pochodni i większą ilość świec oraz nieodzowne narzędzia, między innymi łomy.

Po ciężkiej pracy około godziny siódmej wieczorem wreszcie usunęliśmy pierwszy głaz. Spojrzałem przez otwór: ciemność głęboka i cisza. Z drugim głazem uporaliśmy się o wiele łatwiej, bo po dwóch godzinach pracy. O godzinie dziesiątej usunęliśmy trzeci. O północy leżało u naszych stóp już siedem wyrwanych kamieni. O pierwszej po północy mogliśmy się przeczołgać przez dość szeroki otwór, co też natychmiast uczyniliśmy, zachowując najwyższą ostrożność, gasząc nawet pochodnie.

Stwierdziwszy, że nic nam nie grozi, zapaliliśmy świecę. Spostrzegłem, że mur z tej strony tak był pomalowany, iż nie różnił się od otaczających go skał.

Znaleźliśmy się w szerokim i dość wysokim korytarzu, który wspierał się na naturalnych blokach skalnych. Lewa część korytarza kończyła się po kilku krokach. Skierowałem się więc w prawo. Wzdłuż murów leżało wiele przeróżnych narzędzi. Przeciąg był tu silniejszy. Wkrótce weszliśmy do sześciennego komory. Pośrodku ujrzałem wielką skrzynię. Do czterech jej boków przymocowane były sznury skręcone z rzemieni; przywiązane u góry do łańcucha. Nad skrzynią widniał otwór nieco większy niż podstawą skrzyni. Był to na pewno szyb, skrzynia zaś winda. Leżały jeszcze inne najrozmaitsze przedmioty, na które chwilowo nie zwróciłem uwagi, gdyż zaintrygowało mnie dwoje drzwi z nieociosanego drzewa, zamkniętych na ciężkie zasuwę. Jedne na wprost korytarza, drugie z prawej strony, prawdopodobnie prowadziły do tej części kopalni, gdzie odbywały się roboty.

Przede wszystkim skierowałem się ku stronie prawej. Odsunęliśmy obydwie zasuwę. Mimbrenio trzymał pochodnię. W chwili gdy otworzyłem drzwi, wpadła na mnie jakaś postać kobieca, wbiła wszystkie paznokcie w moją szyję i wrzasnęła: — Podły łotrze! Znowu przyszedłeś! Puścisz mnie albo cię zaduszę!

Powitanie niezbyt przyjazne. Nie obruszyłem się jednak, ponieważ na pewno było skierowane pod innym adresem. Oderwałem od szyi ręce wściekłej istoty, w której ze zdumieniem poznałem Judytę, i trzymając je z dala od mojej twarzy, odpowiedziałem:

— Przepraszam panią, zechce pani zwrócić uwagę na pomyłkę. Nie przyszedłem tu po to, aby ginąć z delikatnej rączki.

Mimbrenio oświetlił moją twarz. Judyta poznała mnie i krzyknęła:

— Ach, to pan? Dzięki Bogu! Nie pozostawi mnie senior w tym lochu?!

- Nie. Uwolnię panią. Lecz kto panią uwięził?
- Melton, ten potwór, ten szatan Wcielony!
- Ale w jaki sposób senioritę tutaj sprowadził? Wszak niełatwo pani ulega przemocy.
- Oszukał mnie. Poszłam za nim dobrowolnie. Zjechaliśmy w dół w skrzyni.
- Powiedział zapewne, że zobaczy się pani z ojcem?
- Tak, powiedział mi to. Miałam sprowadzić ojca na górę. Czy wie senior, że ojciec jest uwięziony w podziemiu?
- Wiem. W ogóle wiem nieco więcej, niż się pani spodziewa. Wiem na przykład, że młody wódz Jumów, Przebiegły Wąż, wczoraj rozmawiał z pewną damą, która go tak zachwyciła, iż obiecał jej złoto, klejnoty, zamek, pałac, piękne ubiory i wiele służby.
- Nie zarumieniła się nawet. Odpowiedziała zupełnie swobodnie:
- Pan z nim rozmawiał?
- Nie.
- Czy Przebiegły Wąż był już u Meltona?
- Nie wiem. Należy sądzić, że pójdzie do niego, jeśli jeszcze nie poszedł.
- Czekam na niego. Kiedy senior i poznałam, sądziłam, że on pana przysłał po mnie. Wcześniej jednak wzięłam pana za tego łotra Meltona.
- A jednak trzymała pani z Meltonem.
- Tak, ponieważ wiele mi obiecywał.
- Złote, klejnoty, pałac i zamek... Czy istotnie wierzyła mu pani? To, że zwabił pani rodaków, aby ciężko na niego pracowali, musiało chyba senioritę pozbawić zaufania do tego człowieka. Jak właściwie wyobrażała sobie pani ich los?
- Wcale nie źle a dobrze. Mieli pracować przy wydobyciu pewnej ilości rtęci, co nie trwa wszak długo. Melton wzbogaciłby się ogromnie, puściłby na wolność robotników, wynagradzając ich tak sownie, iż zapewniłby im przyszłość bez pracy.
- I pani w to uwierzyła?
- Tak.
- Hm. Los ich wyglądałby nieco inaczej. Wskutek panujących w podziemiach mroków, wskutek złego pożywienia i rtęciowych oparów, po dwóch, trzech latach żaden z robotników nie pozostałby przy życiu.
- Po dwóch czy trzech latach? Praca miała trwać zaledwie kilka miesięcy.
- W takim krótkim czasie nie można się wzbogacić tak dalece, alby tylu ludziom zapewnić przyszłość bez troski. Czy pani istotnie zamierzała zostać żoną Meltona?
- Dlaczegoż by nie?
- A teraz chce pani poślubić Przebiegłego Węża?
- Tak, aby ukarać Meltona!
- A dawny narzeczony, który był pani tak wierny?
- Cóż on mnie obchodzi? Zresztą nie żyje.
- Tak. Pożarły go sępy. Seniorita posiada tyle właśnie sumienia, co Melton. Mam wielką ochotę zamknąć panią ponownie i pozostawić ją własnemu losowi.
- Dotychczas stała między mną a drzwiami. Teraz zerwała się z miejsca i krzyknęła:
- Tego pan nie może zrobić! Nikt nie zdoła mnie zamknąć ,w tym lochu.
- Nie uczynię tego. Będzie pani wolna.
- Byłabym wolna, nawet gdyby mnie pan tutaj pozostawił, gdyż wódz na pewno przyjdzie mnie wyzwolić.
- Nie będzie mógł.
- Kto mu przeszkodzi?
- Melton.
- Wódz ma go w swojej mocy..

— Przebiegły Wąż mówił to wczoraj, ale teraz bardzo możliwe, iż Melton ma nad nim przewagę. Jeśli tak się stało, to z pani winy.

— Jak to?

— Wyjaśnię pani, jeśli się przedtem dowiem, o czym rozmawiałaś z Meltoniem. Przebiegły! Wąż radził wystawić Meltona na próbę. Jakże to pani zrobiła?

— Zażądałam widzenia się z ojcem. Odpowiedział, że muszę jeszcze poczekać, ponieważ obecność ojca w sztolni jest nieodzowna. Nie zadowolłam się tą odpowiedzią, trwałam przy swoim żądaniu i zagroziłam mu, że go porzucę.

— Cóż Melton na to?

— Roześmiał się i powiedział, że wszak nie odejdę bez ojca. Wówczas zagroziłam mu zemstą wodza.

— Ach, właśnie pomyślałam to sobie.

— Cóż to szkodzi? Niech wie, że nawet pozbawiona ojca nie pozostałam bez opieki i obrony.

— Zaraz seniorita zrozumie, że postąpiła niezbyt sprytnie. Sądzę, iż nie tylko powołała się pani na Indianina jako na swojego obrońcę; ale że jeszcze coś ponadto wygadała?

— Dlaczego nie miałam odpowiadać, skoro pytał?

— Powiedziała mu pani zapewne, że Przebiegły Wąż przyrzekł senioricie to samo szczęście i ten sam dobrobyt, co Melton?

— Tak.

— I że zabije Meltona, jeśli odważy się zrobić pani coś złego?

— To szczególnie musiałam zaakcentować.

— Niech pani dziękuje Bogu, że ja się tutaj zjawiłem, albowiem Przebiegły Wąż nie zdoła wydobyć pani z tego szybu.

— Ależ on na pewno przyjdzie!

— Nie zrobi tego, bo nie może. Dzięki pani Melton został doskonale poinformowany o swoim rywalu i wie, czego się ma po nim spodziewać.

— To nic nie szkodzi. Wiem, że Melton zależny jest od Indian i nie może narażać się ich wodzowi

— Ja zaś wiem, że wcale się go nie lęka. Los pani jest tego najlepszym dowodem. Mimo pogroźek seniority uwięził panią w kopalni. To chyba dowód przekonywający, iż Melton nie obawia się Indianina.

— Wkrótce dowie się o swojej pomyłce. Powiedziałam miu, że Przebiegły Wąż będzie na mnie czekał i zgłosi się po mnie, jeśli nie przyjdę.

— Ach, to już największy błąd, jatki mogła pani popełnić. Melton jest uprzedzony i uzbroił się odpowiednio na przyjęcie wodza. Sądzę, że — pani obrońca sam potrzebuje teraz obrony.

— Myśli pan, iż Melton się odważy? Całe plemię Jumów pomściłoby śmierć swojego wodza.

— Myli się pani. Melton, którego pani sama nazwała szatanem wcielonym; nie jest tak głupi, aby wyjawić to, co zamierza, lub czego może już dokonać. Łatwo potrafi usunąć wodza w taki sposób, że nikt się o tym nie dowie. Może być pani pewna, iż gadatliwością naraziła swego obrońcę na największe niebezpieczeństwo,

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to sądzą, że pan go wybawi! Melton natychmiast chwyci się najgorszych środków.

— Czy wie pani, gdzie są jej ziomkowie? Melton chyba pani opowiadał.

— Mówiliśmy często o nich, lecz bardzo pobieżnie.

— Ale ci ludzie muszą jeść i pić. Kto im dostarcza wikt?

— Melton mówił, że wody jest dosyć w podziemiach. Prowiantów zaś dostarczają im dwaj Indianie.

— Czym ich żywią?

- Wyłącznie plackami z kukurydzy, które wypiekałam wraz z kobietami indiańskimi.
- Ponieważ robotnicy znajdują się tu nie z własnej woli, więc zapewne poczyniono odpowiednie zarządzenia, aby przeszkodzić ich ucieczce. Czy nie wie pani jakie?
- Zakuto im nogi i ręce w okowy.
- Jakże mogą ci biedacy pracować?
- Chwilowo jeszcze nie pracują. Czekają na przybycie kilku białych nadzorców i instruktorów.
- Jak są rozmieszczeni: każdy z osobna czy też razem?
- O ile wiem, razem.
- Dwaj Indianie, którzy zaopatrują ich w żywność, są przecież wystawieni na niebezpieczeństwo?
- Nie, ponieważ oddzielają ich mocne drzwi. Mam nadzieję, że pan potrafi je otworzyć?
- Z całą pewnością.
- I wypuści pan uwięzionych?
- Oczywiście.
- Co się stanie z Meltonem? Pozwoli mu senior uciec?
- Pozwolę mu zawisnąć na szubienicy.
- Powiem panu, jak senior ma się do tego zabrać. Nie powinien pan się do niego zbliżyć poza mieszkaniem, gdyż niechybnie seniora zastrzeli.
- Nie przypuszczam.
- O, jednak Melton nie wychodzi z domu bez dwóch rewolwerów, które odkłada jedynie w mieszkaniu. Niech pan go zaskoczy, w domu.
- Zastosuję się do .tych wskazówek, aczkolwiek nie lękam się owych rewolwerów.
- Czy zna pan jego mieszkanie?
- Nie. Wiem tylko, że leży na poziomie szybu. Sądzę, że pani mogłaby mnie poinformować.
- Owszem, znam je dokładnie, Zostało zbudowane przez niejakiego Euzebiusza Lopeza.
- Euzebiusz Lopez? Poprzednio natknąłem się na litery E. L, zapewne to są jego inicjały. Mieszkanie jest jednocześnie kryjówką, nie może przeto być obszerne.
- Jest dość duże. Dawniej na górze w skale była rynna, którą Lopez zamurował. W ten sposób powstał kryty korytarz, który zaczyna się w szybie i prowadzi do mieszkania. Rynna była bardzo szeroka i Lopez przedzielił ją murami. Utworzyło się kilka pokoi. Ściana zewnętrzna wygląda jak skała, wskutek czego z dołu nie można poznać, że na górze mogą mieszkać ludzie. Oknami są wydrążenia, niewidoczne na pierwszy rzut oka.
- Na jaką trzeba zejść głębokość, aby się dostać do korytarza?
- Może dwadzieścia stopni po drabinie.
- Widzę jednak skrzynię wiszącą na łańcuchu. Sądzę, że na górze jest kołowrót, który wciąga ją do góry.
- Owszem, jest.
- W takim razie drabina zbyt długa.
- Drabina prowadzi tylko do korytarza. Z korytarza zaś w dół idzie winda.
- . Dobrze. A mieszkanie?
- Składa się z czterech pokoi. Dwa na końcu korytarza, dwa inne po obu jego stronach.
- W którym znajdę Meltona?
- Z prawej strony mieszkają stare Indianki, z lewej ja (mieszkałam, na wprost zaś prawa para drzwi prowadzi do Wellerów, lewa do Meltona.
- Jakie zamki są w Klrzwiadh?
- Nie ma żadnych. Drzwi nie są z drzewa. To jedynie maty, zwisające z góry.
- Kto wciąga windę do góry?
- Indianie, którzy czuwają na górze. Są to... Uwaga.

Zwróciła się w kierunku szybu. Stamtąd brzęczał łańcuch skrzyni. Widzieliśmy, jak podnosiła się powoli do góry.

— Tam nie śpią jeszcze — rzekłem.

— Po co wciągają skrzynię? Czyżby chciał ktoś zjechać?

— Teraz przekona się pan, że nie miał racji, gdyż z pewnością jedzie wódz indiański.

— Sądzi pani zbyt pochopnie. Jeśli ktoś zjedzie, to na pewno będzie to Melton albo stary Weller.

— Weller dzisiaj tu nie ma.

— Gdzie jest?

— Pojechał z wieloma Indianami odszukać pana, w razie pańskiego przybycia zawiadomić o tym Meltona. Zapewne nie spostrzegł seniora, gdyż byłby już wrócił.

— A więc nie jego mamy się tułać spodziewać. Będzie to Melton.

— Najlepsza sposobność, aby go złapać!

— To jeszcze zależy od wielu okoliczności. Trzeba być przezornym. Weller mógł już wrócić, może być przy Meltonie. Musimy czekać na dalszy rozwój wypadków. Dlatego panią proszę, abyś się pozwoliła z powrotem zamknąć.

— Zamknąć? — zapytała przerażona. — Nie, ma to nie pozwolę. Jestem ogromnie zadowolona, że się wydostałam.

— Daję pani słowo, że ją na pewno wypuszczę. Chcę tylko zobaczyć, kto tu przyjdzie i w jakim celu, powinien przeto zastać wszystko po dawnemu.

Opierała się, lecz w końcu uległa. Zamknąłem drzwi na zasuwę i ukryłem się wraz z Mimbreniem za wielkim stosem drewna, nagromadzonego tam, gdzie zaczynała się rozkopana część korytarza. Pogasiliśmy światło i czekaliśmy przyczajeni.

W tej chwili dobiegł nas hałas opuszczanej skrzyni. Wzmagał się z minuty na minutę. Z góry padał odblask; skrzynia uderzyła o grunt. Stał w niej Melton z latarką przypiętą do pasa.; Wysiadł z windy i wyciągnął przedmiot, w którym mimo oddalenia poznałem skępowanego człowieka. Tu, na dole, akustyka była doskonała. Dlatego słyszałem każde słowo Meltona. Wołał szydyczko:

— Tęskniłeś do swego Białego Kwiatu?! Dlatego sprowadziłem cię, abyś mógł ją ujrzeć. Uważaj!

Doszedł do drzwi, które więziły Judytę, otworzył je i zawołał:

— Zechce pani łaskawie wyjść do nas. Oczekuje panią radosna niespodzianka.

Judyta wyszła. Doprowadził ją do łożącego na ziemi Indianina i zapytał:

— Zna go pani? Mam nadzieję, że pani przypomina sobie Przebiegłego Węża?

— Przebiegły Wąż! — krzyknęła zaskoczona. — Spętał go pan?!

— Tak. Widzi pani, jaki bohater z ukochanego! Przyszedł, aby pociągnąć mnie do odpowiedzialności i aby panią uwolnić, i oto sam został strącony w podziemia. Nigdy już nie ujrzy światła dziennego. Za wiele mi pani o nim naopowiadała, abym mu miał darować życie!

— Nie sądz, że ujdzie ci to bezkarnie. Jumowie pomszczą swego wodza.

— Ani myślą. Nie wiedzą, że ja jestem sprawcą jego zniknięcia. Pani ręce!

Wyciągnęła ręce, mówiąc:

— Zwiąż mnie. Nie chcę z panem walczyć, ponieważ brzydzę się pańskiego dotknięcia — Lecz kara cię nie minie!

— Chce pani zostać prorokinią, Judyto? To nieopłacalny interes; dzisiejsza ludzkość cierpi na brak wiary.

Związał jej ręce na plecach i popchnął do ciemnego lochu. Nie stawiała oporu. Wrzucił za nią Indianina, zamknął drzwi, zaryglował, po czym przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał. Wreszcie wrócił do skrzyni i za pomocą zwisającego sznura dał znać do góry, aby go wciągnięto z powrotem. Skrzynia zaczęła się podnosić. Światło znikło, a wraz z nim ucichł odgłos obijania się skrzyni o mur.

Mój Mimbrenio nie szepnął jeszcze ani słówka, od chwili gdy przeczołgaliśmy się przez otwór w murze. Teraz jednak był do takiego stopnia zdumiony moim zachowaniem, że zapytał:

— Biały, którego chcieliśmy schwytać, był tutaj. Mogliśmy łatwo i szybko go ująć. Dlaczego Old Shatterhand wypuścił go z rąk?

— Ponieważ i tak jestem pewny jego ujęcia. Kiedy później zaskoczymy Meltona, ogarnie go dwakroć większe przerażenie.

Zapaliłem światło i otworzyłem drzwi, do których całym ciałem przywarła Judyta. Odetchnęła głęboko i rzekła:

— Dzięki Bogu! Już lękałam się, że pan nie nadejdzie!

— Ja dotrzymuję słowa. Czy rozmawiała pani z wodzem?

— Jeszcze nie. Z przerażenia zaniemówiłam, Słyszał pan, co mówił Melton?

— Wszystko.

— Jakże łatwo mógł pana odkryć. A wówczas znów byłabym w jego mocy.

— Nie, wówczas on byłby w mojej. Porozumiem się z Przebiegłym Wężem. Chwalić Boga, że Melton tylko tak się z nim obszedł. Dał mi do ręki atut, którym go pokonam.

Zbliżyłem się do Indianina i przeciąłem więzy. Podniósł się szybko i zwrócił do Judyty:

— Kim jest ta biała twarz? Znajduje się w naszym szybie, a jednak do nas nie należy?

— Mój czerwony brat dowie się zaraz, kim jestem — odpowiedziałem zamiast dziewczyny.

— Wyprowadzę Przebiegłego Węża i białą kobietę nie znaną wam drogą. Wówczas będzie mógł mój czerwony brat pojąć Biały Kwiat za squaw, wybudować jej pałac i zamek.

Moja osoba, obecność i każde słowo były dla niego zagadką. Bawił mnie wyraz zdumienia, widoczny na jego obliczu.

— Mój biały brat zna nie znaną mi drogę z szybu? — zapytał. — Wie również, że kocham białą kobietę i co jej przyrzekłem? Czy nie zechce mi powiedzieć, kim jest?

— Moje imię w języku Jumów brzmi Tave-schala.

— Tave-schala! Old Shatterhand! — zawołał, cofając się o dwa kroki i patrząc na mnie jak na upiora. — Old Shatterhand tu, pomiędzy nami, w naszym szybie!

Nie dowierzał własnym uszom.

— Jeśli nie wierzysz, zapytaj białej dziewczyny.

— Old Shatterhand, wróg naszego plemienia! Pośród naszego obozu! W sercu Almaden!

— Mylisz się, nie jestem wrogiem waszego plemienia, byłem zawsze przyjacielem wszystkich czerwonych braci.

— Lecz ty właśnie zabiłeś Małe Usta, syna naszego wodza!

— Zmusił mnie do tego, ponieważ chciał zabić młodego Mimbrenia, jego brata i siostrę.

— Wódz zaprzysiął ci zemstę!

— Wiem o tym, ale czy z tego powodu ty również jesteś moim śmiertelnym wrogiem?

— Muszę słuchać wodza.

— Żaden czerwony wojownik nie jest nikomu podległy, a tym bardziej ty. Wasz wódz może swoją sprawę sam ze mną załatwić, niepotrzebni mu pomocnicy. Oswobodziłem cię, dowodząc tym czynem, że nie jestem wrogiem Jumów. Gdybym nim był, zabiłbym wszystkich waszych wojowników, których spotkałem po drodze z hacjendy del Arroyo. Było ich czterdziestu, żadnego nie zgładziłem, a tylko wzięłem do niewoli.

— Wszystkich do niewoli? — powtórzył zdumiony. — Gdzie się znajdują?

— Przy oddziale Mimbreniów, z którym przybyłem.

— Czy Mimbreniowie są przy tobie?

— Nie. Pod dowództwem Winnetou, wielkiego Apacza, czekają na mój powrót w takim miejscu, którego nie potraficie odszukać. Sam też oswobodzę wszystkie białe twarze, zamknięte w podziemiach, sam jeden, gdyż nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Nadmierne zdumienie nie pozwalało mu mówić. Więc spokojnie kontynuowałem:

— Nietrudno nam będzie zwyciężyć Jumów, którzy czuwają w Almaden, Nie życzyłbym sobie jednak przelewu krwi. Niech Przebiegły Wąż powie, czy chce zostać moim wrogiem — czy przyjacielem?

Indianin wydawał mi się człowiekiem bardzo uczciwym. Dlatego obchodziłem się z nim oględnie. Zastanawiał się przez kilka minut, patrząc na mnie uważnie, po czym rzekł:

— Kazano mi być wrogiem Old Shatterhanda. Muszę być posłuszny rozkazowi. Ocalił jednak mnie i Biały; Kwiat, przeto pragnę ofiarować Old Shatterhandowi przyjaźń. Nie mogę uczynić tego, czego serce pożąda, ani tego, do czego skłania mnie rozkaz; nie będę przyjacielem Old Shatterhand ani jego wrogiem. Może ze mną zrobić co tylko zechce.

— Mój brat mówi bardzo rozsądnie. Czy jednak zastosuje się do roli, którą mu wyznaczę?

— Tak. Nie uniknąłbym śmierci; więc odbierz mi życie, a nie będę się bronił.

— Odbiorę ci nie życie, tylko wolność, przynajmniej na jakiś czas. Czy będziesz się uważał za mojego jeńca?

— Tak.

— Czy muszę cię związać, abyś nie umknął?

— Czy zwiążesz mnie, czy nie, pozostanę przy tobie, dopóki mi nie powiesz, że jestem wolny. Lecz niczego więcej ode mnie nie żądaj. Nie udzielę ci ani pomocy, ani wskazówek.

— Dobrze więc, umowa stoi. Jesteś moim jeńcem i słuchasz moich rozkazów. Niepotrzebna mi twoja pomoc w; tym, co zamierzam zrobić.

Uwolniłem również ręce dziewczyny i udałem się na poszukiwanie robotników. Droga, która zaprowadziła mnie do Judyty, była krótka. Rozpoczęto tu kopanie nowego tunelu; zaniechano go jednak. Robotnicy znajdowali się zapewne za drugimi drzwiami. Kiedy, otworzyłem je, znaleźliśmy się jak gdyby w komorze, z której prowadziły trzy korytarze w różnych kierunkach. Czuć było siarkę; oddychało się z trudem. Dwa korytarze były otwarte. Natomiast wejście do trzeciego zamykały drzwi. Zobaczyłem tu również zamknięte okienko. Otworzyłem je, ale musiałem się szybko cofnąć przed straszlivymi wyziewami, bijącymi z wnętrza. Po otwarciu drzwi buchnęły na mnie gęste wyziewy, niemożliwe do opisania. W korytarzu można było jedynie poruszać się skurczywszy we dwoje. W takich to warunkach pracowali emigranci! Leżeli pokotem tuż za drzwiami mężczyźni, kobiety, dzieci. Kiedy padł na nich blask naszego światła, podnieśli się wszyscy. Zabrzmiał zgiełk łańcuchów, do których były przymocowane okowy, skuwające im ręce i nogi. Dzieci poczęły płakać ze strachu, kobiety błagały o chleb, mężczyźni złorzeczyli. Zaciskano i podnoszono pięści. Była to chwila najwyższego podniecenia. Lecz parę moich głośno wypowiedzianych słów przemieniło niebezpieczną nienawiść w coś wręcz odwrotnego. Skakano z radości, obejmowano mnie, wielu płakało ze szczęścia. Sporo czasu upłynęło, zanim uspokoili się na tyle, że mogłem się od nich czegoś dowiedzieć.

Wódz przyglądał się temu z daleka. Kiedy nieco rozluźniło się dokoła mnie, podszedł i rzekł:

— Powiedziałem, że Old Shatterhand nie uzyska ode mnie żadnej pomocy. Jednakże coś chciałbym mu powiedzieć: Tam, w rysie muru, leży klucz, którym otwiera się okowy.

Był widocznie wzruszony widokiem nieszczęśliwych. Nie upłynęło pięć minut, a wszystkie kajdany były zdjęte i odrzucone. Teraz oswobodzeni chcieli wyjść, wyjść na wolność. Z trudnością przywołałem ich do spokoju. Zgiełk mógł łatwo dotrzeć do Meltona i ostrzec go, więc spodziewając się napaści, zarządziłem, aby zabrano, jako broń wszystkie narzędzia: młoty i piły.

Naraz uwaga tłumu skupiła się na czerwonoskórym. Wiedzieli, kim jest i jaką rolę odgrywał w przestępstwach Meltona. Chcieli się rzucić na niego. Ledwo zdołałem go uchronić przed linczem. Zapewniłem ich, że jest moim zakładnikiem i jako taki może im się bardzo przydać.

Poszliśmy drogą prowadzącą do jaskini. Ponieważ mogliśmy iść tylko gęsiego, utworzył się więc długi szereg. Po pewnym czasie dotarliśmy do celu.

Była już godzina trzecia lub czwarty a więc czas najwyższy na schwytanie Meltona. Chciałem się wprawdzie szczegółowo rozmówić z emigrantami, ale musiałem odłożyć to na później, ponieważ przed świtem należało opuścić Almaden. Wybrałem dziesięciu na silniejszych mężczyzn, którzy mieli mi towarzyszyć.

Drogę na płaskowzgórzu każdy z dziesięciu emigrantów znał dobrze, ponieważ tędy ich prowadzono. Dotarliśmy tam bardzo prędko. Można było nie lękać się straży; gdyby nawet usłyszeli odgłos kroków, z pewnością przyjęli nas za swoich.

Domek nad szybem oprócz drzwi posiadał kilka otworów okiennych. Stąd biło światło. Śmiało podeszliśmy wprost do domu. Trzej Indianie wartownicy poderwali się z miejsca, lecz natychmiast spętaliśmy ich własnymi pasami. Następnie zostali wyniesieni i ułożeni w takiej odległości, że z domu nie można było ich dostrzec. Dziesięciu emigrantów pozostało przy nich. Zarządziłem to ze względu na Meltona, który nie powinien się być od razu zorientować w sytuacji.

Mogłem go schwytać sam. Dla pewności jednak zabrałem ze sobą młodego Mimbrenia, na którym mogłem bardziej polegać niż na dziesięciu białych.

W domku znaleźliśmy kilka małych latarek. Zapaliłem jedną z nich i zawiesiłem na guziku od kamizelki, aby łatwo dała zasłonić się płaszczem. Sądziłem, że znajdę tu kołowrotek od windy. Jednak nie widząc go, skorzystaliśmy z drabiny. Zszedłem po niej, za mną zaś Mimbrenio.

Otwór był tutaj o wiele szerszy niż na dole. Wkrótce znalazłem się w czworokątnej boczniczy szybu. Opodal stał kołowrót nad prowadzącą do głębi dziurą — Na trzech ścianach wisiały wszystkie niezbędne narzędzia; w czwartej był wybity obszerny otwór — początek poszukiwanego korytarza. Nasłuchiwałem; w głębi panowała cisza.

Przysłoniłem latarkę, tylko czasem rzucając smugę światła na drogę. Korytarz był długi, wydawać by się mogło, że nie ma końca. Wreszcie ujrzelśmy z prawej i lewej strony drzwi. Były zasłonięte matami. Zdawało się, że wszyscy śpią. Jednakże, kiedy zbliżyłem się jeszcze o kilka kroków, usłyszałem rozmowę. Głos dobiegał spoza lewych drzwi, a więc z pokoju Mehona. Podeszedłem bliżej i uchyliłem nieco matę. Paliła się tu świeca, pozwalając dokładnie obejrzeć wnętrze. Pokój był duży. W kącie na lewo znajdowało się posłanie z kołder. Pośrodku stał z gruba ciosany stół, na nim leżały dwa rewolwery i nóż, dokoła zaś stały z gałęzi plecione krzesła, a raczej stołki. Na ścianie z prawej strony wisiały dwie strzelby, obok nich obszerna torba skórzana, z pewnością zawierająca naboje. Melton siedział przy stole i rozmawiał z Indianką. Stała między stołem a drzwiami. W chwili gdy lustrowałem pokój, mówił Melton w żargonie indiańsko-hispańskim.

— Chyba współczucie nakazuje ci wypytywać się o jej los?

— Współczucie? — odpowiedziała skrzypiącym głosem. — Cieszę się w głębi serca! Nie znosimy jej nie mniej niż ona nas.

Niewątpliwie mowa była o Judycie.

— Wobec tego ucieszysz się bardziej wiadomością, że ona już nigdy nie wróci. Same jesteście sobie paniami. Służcie mi tylko wiernie, a sowiec was wynagrodzę.

— Jesteśmy ci wierne, senior, ponieważ przyrzekłeś nam wiele pięknych rzeczy, a nie wątpimy, że dotrzymasz obietnicy. Obyś mógł tylko pokonać wrogów, których się spodziewasz.

— O, nie lękam się wcale. Szaleńcy sami oddają się w nasze ręce. Zresztą, nie dotrą tutaj. Ostrzeżeni przez wywiadowców, wyjdziemy na ich spotkanie i wytępiimy co do nogi.

— Słyszałyśmy, że towarzyszy im wielki Winnetou i pewien dzielny biały wojownik. Tego nie znam, ale wiem, że niełatwo pokonać wielkiego Apacza. Jego przebiegłość przekracza granice wyobraźni. Być może, wywabi naszych ludzi z Almaden, aby je podstępnie zająć.

— To mu się nie uda. Ale gdyby tutaj przybył, wiadomo wam, co należy czynić. Nóż leży przy kołowrocie. Lecz nawet gdyby nas pokonał, nie mógłby zdobyć skały, która jest

wspaniałą, niedostępną twierdzą. Wbrew naszej woli nikt tu nie wejdzie, szczególnie zaś Winnetou i biały, o którym mówiłaś.

Nie chciałem już dłużej słuchać jego pustych przechwałek, ponieważ czas naglił do pośpiechu. Odsunąłem zasłonę, wszedłem do pokoju i rzekłem:

— Myli się pan bardzo, mister Melton. Jak pan widzi, jesteśmy już tutaj!

W tej samej chwili schwyciłem ze stołu rewolwery i — nóż i stanąłem między nim a bronią wiszącą na ścianie. Cofnął się przede mną jak przed zjawą.

— Old Shatterhand! Do stu diabłów! — zawołał. — A więc jest tutaj i Winnetou. Prędko! Prędko spełnij swoją powinność, gdyż jest to biały, o którym mówiłaś!

Okrzyk był skierowany do Indianki Zerwała się z miejsca, ale schwyciłem ją i rzuciłem na postanie. Nadbiegł Mimbrenio, aby ją przytrzymać. Miotła się, nie mogąc wyrwać, więc krzyknęła kilka indiańskich słów. Zrozumiałem tylko dwa: ala i akwa, pierwsze było imieniem kobiecym, drugie oznaczało nóż. Okrzyk był chyba skierowany do drugiej starej Indianki, która się znajdowała za drzwiami. Nie mogłem się nią zająć, ponieważ musiałem skupić uwagę na Meltonie, który klnąc, usiłował mi rozbić głowę jedyną swoją bronią — stołkiem. Podbiegłem w porę, podniosłem go do góry i rzuciłem o mur z takim rozmachem, że zwałił się na ziemię jak złamany. W tej chwili na korytarzu odezwał się głos kobiecy. Melton chciał się podnieść, trzymałem go jednak mocno za ramiona. Usiłował odepchnąć mnie kolanami. Ponieważ w kącie leżały lassa, jednym z nich związałem Meltona.

Kiedy wyszedłem z pokoju, usłyszałem szcęk łańcucha. Pobiegnę szybko w tę stronę, korzystając ze światła latarki. A kiedy stanąłem u kołowrotu, ujrzałem starą Indiankę. Zanim zdążyłem jej przeszkodzić, przecięła rzemień łączący łańcuch windy z kołowrotem. Łańcuch runął z ciężkim brzdękiem w głąb szybu.

Teraz zrozumiałem słowa Meltona: „Wiadomo wam, co należy uczynić”. W razie klęski i niebezpieczeństwa Indianki miały spuścić windę, przeciąć rzemień i w ten sposób odciąć, przynajmniej na jakiś czas, drogę do szybu. Robotnicy zginęliby, niechybnie. Byłem głęboko wstrząśnięty. Tak złowrogiego, tak piekielnego pomysłu nie spodziewałem się nawet po Meltonie. — Indianka chwyciła się drabiny. Odciągnąłem ją i przywlekłem do pokoju, gdzie leżał Melton, Zobaczywszy nas, rzucił na starą pytające spojrzenie;

— Czy łańcuch odcięty?

— Tak — skrzeknęła potakująco. Roześmiał się i rzekł szyderczym głosem:

— Diabeł wie, jakżeście się tu dostali, master. Szczęście panu dopisało. Jednak cel pańskiej wyprawy stracony.

— Jaki cel? — zapytałem, podejmując grę.

— Zna go pan lepiej niż ja; nie powiem panu nic, co mogłoby posłużyć jako dowód przeciwko mnie.

— Szukam robotników z hacjendy del Arroyo. Gdzie są?

— Nic o nich nie wiem. Poszukaj ich pan sam. Są dopiero w drodze do Almaden. Wyprzedziłem ich.

— Po co pan strącił łańcuch w głąb szybu?

— Ja? Słyszał pan wszak, że uczyniła to Indianka.

— Uczyniła to na pański rozkaz.

— Jest pan tego pewien? Proszę, spytaj Indiankę — Chętnie odpowie na wszystko. Ja jednak żądam stanowczo, abyś mnie puścił! Almaden jest moje. Ja tu jestem panem, ja tu rozkazuję i jeżeli mnie natychmiast nie puścisz, poniesiesz wszystkie konsekwencje!

— Nie lękam się żadnych konsekwencji. Co się z panem stanie i czy odzyskasz kiedykolwiek wolność — to już sąd rozstrzygnie.

— Sąd? Oszalał pan? Gdzie tu jest sąd?

— Jest już w drodze. Śledztwo wyjaśni, kto wynajął Jumów, aby napadli na hacjendę del Arroyo i w popiół ją obrócili. Odszuka się robotników. Sądzę, że jeżeli znajdziemy ich, opowiedzą nam wiele niezbyt pochlebnych rzeczy o panu.

— Wobec tego życzę seniorowi, abyś ich odnalazł — roześmiał się — i abyś miał więcej szczęścia w tym przedsięwzięciu niż ja. Nie widziałem ich bowiem od czasu, gdy rozstałem się z nimi w hacjendzie.

— Są więc istotnie w drodze. Załatwiłem tu już wszystko i wracam do hacjendy, więc spotkamy się niezadługo. Ponieważ pan mi towarzyszy, przeto będzie senior miał przyjemność powitać emigrantów i przekonać się o ich życzliwości.

Twarz Meltona wyrażała szatańskie szyderstwo.

— Bardzo mnie to cieszy, sir. Ich świadectwo będzie dowodem pańskiego bezprawnego napadu na mnie. Niech pan pomyśli o skutkach!

— Może być tylko jeden skutek: strychezek dla pana. Mam dosyć dowodów przeciwko seniorowi. Sądzę nawet, że potrafię skłonić Jumów do świadczenia przeciw panu.

— Niech pan tylko spróbuje! — rzeki, szczerze tym ubawiony.

— Na pewno spróbuję. Sądzę, że znajdzie się jeszcze coś innego. Ponieważ jest pan następcą hacjendera, więc masz kontrakty z moimi ziomkami oraz akt kupna hacjendy, podpisany w Ures. Prawdopodobnie posiada pan jeszcze inne kompromitujące listy czy papiery. Czy mogę seniora zapytać, gdzie się znajdują?

— Proszę, niech pan pyta, ilekroć się panu podoba. Nie mam nic przeciwko temu.

— Zakładam, że pan mi nie odpowie szczerze, wobec tego poszukam na własną rękę.

Przeszukałem ubranie, które nosił, i inne, które wisiały w pokoju. Specjalnie ominąłem najprawdopodobniejszą skrytkę i udałem się do innych pokojów. W pokoju Wellerów nic nie znalazłem. W pokoju Judyty i Indianek leżało sporo żywności, która mogła nam się przydać. Miałem bowiem żywność tylko dla siebie i Mimbrenia. Kiedy wróciłem do Meltona, zapytał, szydząc z» mnie:

— Na pewno pan znalazł, master. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, i Old Shatterhand od razu każde pismo wywęszy!

— Jest to tak pewne, że nawet osobiście nie zadam sobie trudu. Mój młody towarzysz opuka ściany. Na pewno znajdzie wydrążoną skrytkę. Ludzie pańskiego pokroju zwykle mają takie schowki.

— Niech puka! Mnie to tylko bawi.

Mimbrenio zaczął szukać, ja uważnie obserwowałem Meltona. Każdy kryminolog wie, że w rewizji mieszkaniowych najlepszą wskazówką są oczy i wyraz twarzy ukrywającego. Umówiłem się po cichu z Mimbreniem aby szukał drażonych miejsc w ścianach i podłodze. Natomiast gdybym chrząknął, miał chwilowo oddalić od podejrzanego miejsca, aby za moment powrócić. Udawałem, że całą uwagę skupiam na ruchach chłopca, istocie zaś nie spuszczałem oczu z Meltona. Aby tego nie zauważył, stanąłem w cieniu.

Melton spoglądał na chłopca z pewnością siebie, która wszakże opadała w miarę, jak chłopiec zbliżał się do posłania. Kiedy podszedł bliżej, kaszlałem po cichu. Oddalił się i natychmiast twarz Meltona przybrała wyraz zadowolenia. Ponieważ powtarzało się to kilkakrotnie, więc nabrałem przekonania, że skrytka znajduje się w samym posłaniu lub w pobliżu. Przestałem więc chrząkać, kiedy Mimbrenio ponownie się do niego zbliżył. Wskutek tego przeszukał je starannie. Melton był bardzo zaniepokojony, lecz rychło odzyskał humor, gdyż chłopiec, nic nie znalazłszy, szukał gdzie indziej.

Byłem pewny, że trzeba przeszukać podłogę pod posłaniem. Nie chcąc jednak, aby Melton wiedział o pomyślnym wyniku, kazałem Mimbreniowi zaprzestać poszukiwań. Melton od nowa zaczął z nas szydzić. Nie odpowiadając na drwiny, pozostawiłem go wraz z Indiankami pod opieką chłopca i udałem się do dziesięciu emigrantów, którzy czuwali przy pojmanych wartownikach. Jeden wystarczał, aby podjąć zadaniu. Reszta musiała pójść ze mną po

żywność. Niebawem wnieśliśmy czerwonoskórych jednego po drugim do pokoju Indianek, po czym emigrantów odesłałem z prowiantem do jaskini, nie chcąc, aby Melton ich zobaczył.

Przeniosłem kobiety do wartowników, Meltona zaś do pokoju Judyty. Postanowiłem zbadać podłogę pod posłaniem. Stanowiła ją mocno ubita ziemia. Gdy zacząłem ją opukiwać, usłyszałem głuchy odzew. Odgrzebawszy ziemię nożem, natrafiłem na płaski kamień. Pod nim było wgłębienie, w którym znalazłem torbę skózaną, zaszytą dla ochrony przed wilgocią w kawał skóry. Otworzyłem ją, aby przelotnie obejrzeć zawartość. Tkwiły w niej listy i liczne papiery, kontrakt z moimi ziomkami i akt kupną hacjendy. W specjalnej skrytce leżał pakiet obligacji na dość znaczną sumę. Schowałem torbę do kieszeni, zagrzebałem dołek i przywróciłem wszystko do pierwotnego stanu. Zabrawszy broń Meltona, poszliśmy po jeńca. Wpakowałem mu knebel w usta. Ponieważ nie chciał wyjść, więc przywiązaliśmy go do lassa i pociągnęliśmy w górę. Drabinę połamałem, zasypując jej szmatkami przejście do korytarza, aby opóźnić pościg Jumnow.

Kiedy doszliśmy do kamienia, zza którego podsłuchiwałem rozmowę Judyty z Przebiegłym Wężem, przywiązałem Meltona do skały, aby przedwcześnie nie zobaczył robotników.

W jaskini płonęły świece. Zastaliśmy moich ziomków przy śniadaniu. Oznajmiłem im, że musimy natychmiast opuścić Almaden. Słowa te przyjęli z radością.

Konie przeznaczyłem dla najslabszych. Mimbrenio wyprzedzał pochód, ja zaś z Meltonem szliśmy na tyłach w znacznym oddaleniu. Przebiegłemu Wężowi skrupowaliśmy ręce na plecach. Aczkolwiek darzyłem go zaufaniem, sądziłem jednak, że zbytek przezorności nie zawadzi.

Oczywiście, poprzednio zasypaliśmy jaskinię. Gdy pochód oddalił się dostatecznie, wróciłem po Meltona. Odwiązałem go od skały, lecz z powodu panującego mroku związałem mu ramię rzemieniem, przymocowanym do mego ramienia.

Zmierzałem tą samą drogą, którą przybyłem, a więc w kierunku południowym. Wiedziałem, że w tę właśnie stronę podążył — Mimbrenio. Kiedy rozjaśniło się, nie widziałem już Almaden. Nie widziałem również swoich towarzyszy. Umyślnie szedłem powoli, chciałem bowiem zaskoczyć Meltona.

Po pewnym czasie zmieniłem kierunek marszu na zachodni i przyspieszyłem kroku. Wkrótce zobaczyłem za sobą długą, ciemną linię z dwoma wyraźniejszymi punktami. Stanowili ją piechurzy, punktami zaś były wierzchowce z jeźdźcami — Melton, patrząc wciąż przed siebie, nie spostrzegł ich. Milczał przez całą drogę. Teraz, zmęczony szybkim marszem, rzekł:

— Pokąd mnie pan ciągnie z taką szybkością, sir? Przypuszczam, że do hacjendy del Arroyo?

— Z całą pewnością, szanowny panie — odpowiedziałem.

— Pieszco?! Kiedyż według pana przybędziemy, skoro wybrałeś złą drogę?

— Tą samą drogą przybyłem. Sądzę więc, że jest dobra.

— Ależ gdzie tam! To droga okrężna. Prosta i krótsza prowadzi na północ. Taki doświadczony piechur jak pan powinien o tym wiedzieć.

— Pańska droga jest dla mnie niebezpieczna. Na północy uwijają się Jumowie z Wellerem, których wysłałeś na zwiady.

— Weller nie spocznie, dopóki nie uwolni swego syna i nie napadnie na was z Jumami.

— Weller mnie nie przeraża. Syna nie może już uwolnić, ponieważ zadusił go Herkules. Kiedy zaś schwycimy starego, w co nie wątpię, pomówimy z nim krótko. Opowiadał panu pewnie, że usiłował wraz z synem zamordować Herkulesa. Ponieważ Herkules czaszkę ma twardą, więc wylizał się z ran. A teraz nie może doczekać się starego. Nie ma też obawy, aby Weller napadł na nas z Jumami. Ci dobrzy ludzie szybko się spostrzegą, że pańska przyjaźń jest zdradliwa i bardzo niepewna. Sądzę też, że w obozie spostrzegą nie tylko pańskie, lecz również zniknięcie Przebiegłego Węża. A może pan nie wie, że wódz nagle zginął?

— Absolutnie! Zginął? Gdzie?

— W szybie.

Raptownym ruchem odwrócił twarz, jak gdyby otrzymał cios w głowę. Obejrzał mnie szeroko wybałuszonymi oczami i Zawołał:

— W szybie?! Jak pan to rozumie?

— Nie inaczej niż było w rzeczywistości. Został uwięziony wraz z piękną Judytą przez niejakiego Meltona.

— Człowieku, czy jesteś przy zdrowych zmysłach?!

— Przy bardzo zdrowych. Judyta została uwięziona, gdyż groziła panu zemstą wodza, z którym się potajemnie zaręczyła poprzedniego wieczora. Kiedy zniknęła, wódz zgłosił się, a wówczas spętałeś go i wtrąciłeś do lochu.

— Człowieku, za dużo czytasz książek.

— To będzie istotnie podobne do romansu, jeśli dodam, że czerwonoskóry został uwięziony w tym samym lochu, co Judyta.

— Mówi pan tak, jakby był wszechwiedzący!

— Nie trzeba być wszechwiedzącym, aby mówić o tym, co się widziało i słyszało.

— Jak?! Co?! — dopytywał się, podczas gdy głos mu nabrzmiał lękiem, a oczy wyłaziły z orbit. — Pan widział to i słyszał?

— Naturalnie.

— Musiał więc pan być w szybie!

— Naturalnie.

Zatrzymał się, spojrzał niedowierzająco i zapytał:

— Jakże pan dostał się na górę?

Nie chciałem mu jeszcze wyjawiać całej prawdy, odpowiedziałem więc:

— Czyż nie mogłem wciągnąć się na łańcuchu windy?

— Nie, ponieważ pociągnąłem wówczas skrzynię do samej góry.

— Aha, pociągnąłeś wówczas skrzynię do samej góry. Zdradził się pan sam!

— Do kata, tak! Ale tylko wobec pana. Nikt ci nie uwierzy! Zresztą Weller już się postara, abyś nie mógł świadczyć.

Przy tych słowach rzucił się na ziemię.

Usiadłem przy nim, zsunąwszy ramię z ramienia. Ułożył się wygodnie, splunął w moją stronę, a potem odwrócił się, aby mnie nie widzieć. Było mi to na rękę, leżąc nie mógł zauważyć zbliżających się emigrantów. Ukazali się w oddali. Wkrótce widziałem ich twarze. Mimbrenio szedł na przedzie. Zbliżył się już na tyle, że słyszałem ich kroki. Melton także nasłuchiwał, podniósł tułów i odwrócił głowę. Po chwili zerwał się na nogi, spoglądając na nich jak na zjawy, i zawołał:

— Do stu piorunów, co ja widzę! Kto się tu zbliża?

— Pańscy Jumowie, aby cię uwolnić — odpowiedziałem. — Spodziewam się, że ucieszy pana tak rychłe spełnienie nadziei!

— Zatracony łotrze! Jesteś naprawdę w sojuszu z diabłem!

Mówiąc to, kopnął mnie i zaczął umykać z taką szybkością, na jaką pozwoliły mu skrepowane ręce. Ta próba ucieczki była naprawdę śmieszna. Stałem spokojnie, nie ścigając go nawet. Wyrezyli mnie w tym emigranci, którzy z odległości czterdziestu, pięćdziesięciu kroków poznali Meltona i rzucili się za nim z głośnymi okrzykami. Tylko Mimbrenio zastał na miejscu i powiedział do mnie ze śmiechem:

— Ptak o związanych skrzydłach niedaleko uleci.

Na czele pogoni biegła Judyta i Przebiegły Wąż, który zbliżał się coraz bardziej do ściganego, Wreszcie wyprzedził go o kilka kroków i zawrócił z taką siłą, że Melton runął i dwukrotnie fiknął koziołka. Nie mógł się już podnieść, ponieważ wódz leżał na nim i pomimo skrepowanych rąk ścisnął mu gardło. Walczyli ze sobą w milczeniu, dopóki nie nadbiegła

Judyta na pomoc czerwonoskóremu. Przybiegli i inni. Utworzył się kłębek krzyczących ludzi z Meltonem pośrodku. Podbiegłem do nich, gdyż lękałem się o życie mormona. Leżał na ziemi. Trzymano go mocno, Judyta zaś kaleczyła mu twarz pięścią i paznokciami. Oburzony, oderwałem ją od Meltona i zawołałem z wściekłością:

— Co pani robi?! Niech pani zostawi go nam, mężczyznom! Jest pani prawdziwą furiatką!

— Ten oszust zasłużył sobie, abym mu oczy wydrapała — wyrzuciła bez tchu. — Oszukał, uwięził mnie. Miałam zginąć w szybie!

Usiłowała się rzucić na niego. Odciągnąłem ją i rzekłem, zwracając do pozostałych:

— Niech nikt się nie waży go dotknąć! Melton należy do mnie. Nie uniknie kary. Kto jednak nie usłucha, będzie miał ze mną do czynienia.

Cofnęli się wszyscy. Podniosłem Meltona, który pomijając już wygląd zewnętrzny, znajdował się w takim stanie, że ledwo można go było nazwać człowiekiem. Zniekształcone usta szeptały przekleństwa i złorzeczenia. W tych jękach wyczuwało się najgłębszą wściekłość.

Przebiegły Wąż o oczach rozpalonych ogniem zemsty i nienawiści zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Co zamierza Old Shatterhanf uczynić z tym niebezpiecznym białym?

— Nie wiem jeszcze, muszę się poradzić w tej sprawie Winnetou.

— To nie jest konieczne. Wódz Apaczów zgodzi się z każdym postanowieniem Old Shatterhanda. Obydwa jesteście jako jeden mąż, co jeden postanowi, na to drugi się zgodzi.

— W jakim celu mówi to Przebiegły Wąż?

— Mam pewną propozycję, którą chciałbym ci w cztery oczy powiedzieć.

Oddaliłem się z nim na taką odległość, że Melton nie mógł nas usłyszeć. Emigranci zaś nie rozumieli mowy Indian. Zapytał mnie wprost:

— Niech mi Old Shatterhand powie, czy uważa mnie za kłamcę?

— Dlaczegoż by nie? Imię mego czerwonego brata nie może budzić zaufania. Wierzę zaś, że Przebiegły Wąż kocha prawdę i że jest zbyt dumny i odważny, aby kłamać.

— Mój brat ma rację.. Dziękuję mu. Chcę Old Shatterhandowi powiedzieć, że gotów jestem zawrzeć z nim pokój nie tylko we własnym imieniu, lecz także w imieniu mego całego plemienia.

— Cóż na to powie Vete–ya, wasz wódz naczelny?

— Zgodzi się.

Bardzo wątpię. Wszak pała pragnieniem zemsty.

— Old Shatterhand jest przyjacielem czerwonoskórych, nie zabija nikogo, jeśli nie jest do tego zmuszony.

— To prawda, ale ta przyczyna nie wystarcza, aby Wielkie Usta przemienił żądzę zemsty w przebaczenie, a nienawiść w przyjaźń.

— W takim razie niech robi, co chce. Mnie jego Zemsta nie obchodzi. Kiedy wyruszyliśmy do Almaden, obraliśmy Vete–ya naszym wodzem. Możemy pozbawić go władzy. Jumowie składają się z wielu szczepów; on jest wodzem swego szczepu, a ja swego. Nie stoi wyżej ode mnie. Narzucił mi wojnę, ja jednak doszedłem do przekonania, że pokój jest lepszy. Dlatego jestem gotów wypalić z tobą fajkę pokoju w imieniu przynajmniej własnego szczepu, jeśli nie w imieniu wszystkich Jumów.

— Lecz jeśli Vete–ya będzie temu przeciwny?

— Wówczas ja, jako przyjaciel i brat Old Shatterhanda, będę go bronił wraz ze wszystkimi swymi wojownikami przed Vete–ya. Czy wierzy mi mój biały brat?

— Wierzę. Lecz domyślam się, że mój czerwony brat wypali ze mną fajkę pokoju tylko na pewnych warunkach. Jakie one są?

— Są tylko dwa warunki. Pierwszym moim życzeniem jest, aby Old Shatterhand nie miał nic przeciwko temu, że Biały Kwiat, zwany Judytą, uczynię swoją squaw.

— Nit nie mam przeciwko temu. Owszem, jestem przekonany, że żaden biały nie nadaje się tak na męża Judyty, jak mój czerwony brat. Na tym punkcie jesteśmy ze sobą zgodni. Jakież jest twoje drugie życzenie?

— Chcę mieć Meltona.

— Przypuszczałem to. A więc Przebiegły Wąż sądzi, że ja mam prawo rozporządzać życiem tego człowieka?

— Tak. Według praw białych twarzy masz go, być może, dostarczyć do sądu, lecz według praw czerwonoskórych Melton należy do ciebie i możesz z nim zrobić, co zechcesz. Znajdujemy się na terenie należącym do Indian, więc jeśli Old Shatterhand postąpi według naszych praw, żaden biały nie uczyni mu jakiegokolwiek zarzutu.

— A jednak! W pobliżu znajdują się dwaj policjanci, którzy przybyli po Meltona. Wprawdzie nie mam obowiązku stosować się do ich życzeń i czynię to, co uważam za stosowne, nawet jeśli dzieje się to wbrew ich woli, Mój czerwony brat może otrzymać Meltona. Lecz czy wziął pod uwagę, że ja również postawię pewne warunki?

— Tak. Chciałbym się o nich dowiedzieć.

— Żądam przede wszystkim pokoju między twoim szczepem a wszystkimi białymi, którzy się tu ze mną znajdują.

— Przebiegły Wąż godzi się na to.

— Żądam, aby pokój rozciągał się na wszystkich Mimbreniów, którzy są moimi przyjaciółmi.

— O, z tym jest o wiele trudniej. Mimbreniowie są naszymi wrogami. Na mój rozkaz trzystu moich wojowników może ich napaść i wytepić. Jeśli upierasz się, abyśmy Mimbreniów oszczędzali, to ja będę musiał dodać do swych dwóch warunków jeszcze inne.

— Zatrzymaj je przy sobie! Przy obecnym położeniu Mimbreniowie raczej wam mogą dyktować warunki niż wy im. Zapominasz, że na czele ich stoi Winnetou i że ja również jestem przy nich. Nie lękaliśmy się trzystu twoich wojowników, nie lękamy się tym bardziej teraz, gdy jesteś naszym jeńcem. Co nam przeszkodzi udać się na północ i zabrać wam konie?

— Czy Old Shatterhand wie, gdzie się znajdują? — zapytał przerażony.

— Gdybym tego jeszcze nie wiedział, dowiedziałby się wkrótce Winnetou. Zresztą, nie ty jeden wpadłeś w nasze ręce. Schwytaliśmy czterdziestu Jumów, którzy byli rozstawieni po drodze do hacjendy, między nimi Bystrą Rybę.

Nie spodziewał się takich wieści. Przez chwilę spoglądał w dół, po czym zrezygnowany rzekł:

— Należy wierzyć słowom Old Shatterhanda.

— Na dobytek nie możecie tutaj pozostać, ponieważ zabraliśmy również wozy z żywnością, które nadeszły z Ures.

— Uff! Grozi nam głód! Mamy zapasy tylko na dwa dni. Będziemy zatem musieli albo głodować, albo wynieść się z tej miejscowości pozbawionej zwierzyny.

— Tak. Jesteście w bardziej opłakanych warunkach, niż dotychczas sądziłeś. A więc obstaję przy swoim żądaniu, abyście zawarli pokój z Mimbreniami.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Wówczas i tak będziemy realizować nasze plany. Musimy jeszcze złapać Wellera. Potem zabieramy wam konie, czekamy na przybycie Silnego Bawołu z wieloma setkami Mimbreniów, nacieramy na was i niszczymy całe plemię. Ty zaś jako współnik Meltona będziesz wraz z nim i Wellerem przekazany sędziemu. W najlepszym razie czeka cię wieloletnie więzienie.

Wolny Indianin a wieloletnie więzienie! Nic straszliwszego! Ogarnęła go wielka trwoga i podyktowała mu szybką decyzję:

— Widzę, że mój brat ma rację. A więc niech pokój rozciągnie się również na Mimbreniów. Czy Old Shatterhand stawia jeszcze jakieś warunki?

— Tymczasem nie. Dalsze ustalenia odkładam do czasu narady, ponieważ sędzę, że Przebiegły Wąż nie wypali ze mną kalumet, zanim nie naradzi się z najstarszymi wojownikami swego szczepu.

— Tak, muszę się starszych poradzić. Czy Old Shatterhand uda się do nich ze mną, czy też oni mają przyjść tutaj?

— Oni tu przyjdą.

— Musimy więc kogoś do nich posłać. Kogo mój biały brat wyznaczy?

— Mimbrenia. To mądry, wierny i uczciwy chłopiec; mogę na nim polegać.

— Mój brat przekona się, że ja również jestem uczciwy i wierny. Dam Mimbreniowi swój wampum jako dowód, że jestem u was i że on jest posłańcem prawdy. Niech im opowie, jak się to wszystko stało, i niech przyprowadzi pięciu doświadczonych wojowników, których imiona mu wymienię. Niech przyjdą bez broni, aby dać świadectwo dobrej woli.

Mimbrenio podjął się poselstwa tym chętniej, że było dość niebezpieczne; Otrzymałszy dokładne wskazówki, ruszył w drogę na wierzchołku Winnetou. Gromada rozłożyła się kołem, wziąwszy Meltona da środka, ja zaś oddaliłem się, aby niepostrzeżenie zbadać zawartość jego torby. Przede wszystkim znalazłem w niej banknoty na przeszło trzydzieści tysięcy dolarów, kontrakty oraz paczkę listów. Większość była wysłana z Utah, niektóre z San Francisco. W jednym z nich mormoni żądali zwrotu zagrabionej gotówki i informowali o wykluczeniu Meltona ze swej społeczności za niecne uczynki. Dwa czy trzy listy stwierdzały występny zamiar przywłaszczenia sobie znacznych sum do spółki z Wellerami.

Tylko jeden list zawierał treść odmienną. Nie miał ani koperty, ani wzmianki o dacie i miejscu nadania. Ze świeżej jednak barwy atramentu można było wnioskować o niedawnym pochodzeniu listu. Nagłówek brzmiał: dear uncle, to znaczy kochany stryju, pierwsza połowa listu była nieciekawa, dopiero ostatnie wiersze przykuły moją uwagę.

„Skoro się więc pytasz, z czego tu żyję, mogę ci odpowiedzieć, że powodzi mi się bardzo dobrze. Mam szczęście w grze, poza tym zjadłem sobie przyjaźń człowieka, którego tęgo nabita kiesa, stoi dla mnie zawsze otworem. Czy przypominasz sobie bogatego eks-dostawcę wojskowego, którego poznałeś w St. Louis? Jest to rodowity Niemiec, pragnący uchodzić za prawdziwego Jankesa do tego stopnia, że aż zmienił swoje niemieckie nazwisko Jaeger na angielskie Hunter. Jak się dowiedziałem, przybył zza oceanu jako czeladnik szewski. Mimo głupoty, a może dzięki niej, miał łut szczęścia i dzięki mariażowi stał się właścicielem sklepu na William Street w Nowym Jorku. Podczas wojny ze stanami południowymi dostarczał wojsku z początku tylko obuwie, potem również umundurowanie oraz inne rzeczy i zbił na tym wielką fortunę. Obecnie przestał pracować, ciągle choruje i pomnaża swój kapitał ogromnymi odsetkami, co jest mu właściwie niepotrzebne, gdyż od dawna jest wdowcem, a syn — jedyny spadkobierca — odziedziczyłby i tak dosyć wiele, aby przeżyć swoje lata bez troski. Stary jest bardzo, skąpy, nie wysłał jeszcze ani grosza ubogim krewnym zza oceanu, — ale darząc synalka ślepą miłością, bez słowa wyrzutu pozwala mu szastać pieniędzmi.

Small — tym dziwnym imieniem nazwał stary swego syna — jest to dorodny młody człowiek, bardzo rozpieszczony, bez krety charakteru i energii. Nie zna się zupełnie na ludziach, a jest tak łatwowierny, że przyjmuje za prawdziwych przyjaciół przeróżne pijawki, które ssą jego mienie. Nietrudno mi będzie otworzyć mu na to oczy, gdyż pochlebając jego słabostkom, uzyskałem nań Wpływ, który z dnia na dzień się potęguje.

Poznałem tego Smalla Huntera w szczególnych okolicznościach. Nazajutrz po moim przybyciu kelner nazwał mnie mr Hunterem. Tak zwracały się do mnie i inne osoby. Kiedy zaś na koncercie zostaliśmy sobie przedstawieni, stanęliśmy obaj jak wryci. Byliśmy bowiem do siebie podobni jak dwie krople wody, zarówno z postaci, z rysów twarzy, jak z głosu. Gdy przybieram nieco powłóczyisty i powolny chód Smalla, nie odróżniłby mnie nawet jego najbliższy przyjaciel. Jest to przypadek, który potrafię wykorzystać, a który mi pozyskał od

razu jego przyjaźń. Chwilowo jednak, w wymiarach nie budzących podejrzeń, ogrywam go na sumy, które wystarczają mi do życia.

Small darzy mnie całkowitym zaufaniem, obchodzi się ze mną jak z bliźniakiem i nie chce słyszeć o rozstaniu, o którym czasami napomykam. Pragnie, abym mu towarzyszył w wielkiej podróży. Podróże bowiem są jego namiętnością. Jego ukochaną i jedyną lekturą stanowią książki podróżnicze. Zwiedził już Stany Zjednoczone, był w Kanadzie i Meksyku, w Brazylii i Anglii. Teraz wabi go Wschód. Oczywiście, że staram się utwierdzić go w tym pragnieniu. Dzięki temu będę mógł się widzieć z ojcem, który, jak wiesz, musiał przed Old Shatterhandem uciekać za Morze Śródziemne.

Teraz spędzamy całe dnie w jego lub w moim mieszkaniu, kując turecką i arabską gramatykę, czytając powieści z życia haremów i rysując na ścianach białe odaliski lub ciemne niewolnice. Small jest zdolny i robi szybkie postępy, ja zaś chcąc nie chcąc, muszę mu dotrzymywać kroku. Za parę miesięcy, zaopatrzeni przez starego w grube czeki, wypłyniemy na Atlantyk.

Opisuję ci to szczegółowo, ponieważ znając twoją inwencję, oczekuję od ciebie rady, w jaki sposób najlepiej wykorzystać szczęśliwe okoliczności. Twoja ewentualna pomoc byłaby mi bardzo na rękę. Odpisz więc natychmiast na mój poprzedni adres.

Twój bratanek Jonatan”

List ten ogromnie mnie zainteresował. Przede wszystkim ze względu na wzmiankę o mojej osobie. Zmusiłem ojca nadawcy do ucieczki... Nie mógł więc być to nikt inny, tylko brat Meltona, którego ścigałem od fortu Uintah do fortu Edwarda. Stamtąd niestety udało mu się zbiec. Teraz dowadywałem się, że przebywa za Morzem Śródziemnym. Ale gdzie? W obecnej chwili nie bardzo mnie to obchodziło.

Inaczej rzecz się miała ze Smallem Hunterem, któremu groziło poważne niebezpieczeństwo. Chętnie bym go ostrzegł, gdyby to było w mojej mocy. Lecz znajdowałem się w sercu Meksyku, on zaś w Stanach, Zjednoczonych, nie wiadomo nawet w jakim mieście. Na wszelki wypadek zatrzymałem listy przy sobie, podczas gdy pozostałe dokumenty zamierzałem powierzyć seniorowi juryskonsultu.

Właśnie schowałem torbę, gdy przywołał mnie Melton. Wyglądał straszliwie: twarz, podrapana i pobita, zaczynała puchnąć.

— Sir, dokąd pan posłał Mimbrenia? Chcę wiedzieć. Muszę również wiedzieć, o czym szeptaliście z wodzem indiańskim.

— Przemawia pan do mnie tak, jak byś mnie potrafił zmusić do mówienia. Ale, owszem, powiem panu. Zawieram pokój z Jumami.

— Nie zgodzą się na pokój.

— Zgodzą się, ponieważ Przebiegły Wąż sam mi go zaproponował.

— Czy za cenę swego uwolnienia? I puści go pan?

— Będę tak roztropny, że jeszcze coś więcej dla niego uczynię.

— Aha. Więc żąda jeszcze czegoś więcej?

— Tak, Judyty.

— Do kata! Można im obojgu powinszować. Czego jeszcze wymaga?

— Czegoś, co pana bardzo zacieka. Żąda, abym mu wydał seniora.

— Tego pan nie uczyni, master! — krzyknął przestraszony. — Nie masz pan prawa!

— Czy mam, czy nie mam, to obojętne. Aby jednak nie obciążyć niczym sumienia, puszcze pana i pozwolę uciec. Oczywiście natychmiast schwyci panai Indianin.

— Nie jesteś człowiekiem, jeno diabłem! Mógłbyś pan swoją zemstę ograniczyć do krzywd, któreś nam już wyrządził.

— Nam? Cóż to znaczy?

— Mojemu bratu. Unieszczęśliwiłeś go, zapędzając do fortu Edwarda.

— Ach, to ten gracz, który w forcie Uintah zastrzelił oficera i dwóch żołnierzy? To pański brat? Takie pokrewieństwo nie usposabia mnie zbyt przychylnie do pana.

— Niech pan jednak pomyśli, że brat mój nie spocznie, dopóki nie pomści naszej wspólnej krzywdy.

— Nie lękam się jego zemsty; zresztą wszelki ślad po nim zaginął.

— Zdaje się panu. Brat mój jest niedaleko i czuwa.

— Gdzie?

— Nie powiem tego, naturalnie. Nikt oprócz mnie o tym nie wie.

— Oprócz pana i jeszcze dwóch ludzi.

— O kim pan mówi?

— O sobie i o pańskim bratanku Jonatanie.

— Jon... Kto panu... o nim... powiedział?

— To obojętne. Widzi pan, że wiem nieco więcej, aniżeli pan przypuszcza. Taką rodzinę jak pańska niełatwo spuszcza się z oka.

— Jeżeli pan nie blaguje, to niech powie jeszcze, gdzie mój brat przebywa.

— Za Morzem Śródziemnym. Musiałby go pan stamtąd sprowadzić. Zresztą mógłby pana wyręczyć bratanek Jonatan, który właśnie udaje się na wschód w towarzystwie niejakiego Smalla Huntera i grubych czeków jego ojca.

Usiłował skoczyć, ale więzy go krępowały. Splunął tylko i krzyknął rozjątrzony do najwyższego stopnia:

— Więcej niż setka diabłów tkwi w tobie! Niechaj cię piekło pochłonie!

Przewrócił się na bok, aby mnie nie widzieć.

Po upływie dwóch prawie godzin ukazało się w dali pięciu czy sześciu czerwonoskórych piechurów. To szli wojownicy Jumów. Mimbrenia z nimi nie było.

Byli uzbrojeni wbrew rozkazowi wodza, jednak w odległości dwustu kroków od nas odłożyli noże, łuki, strzały i włócznie. Zabrali je ze sobą na wypadek niespodziewanej przygody w drodze. Podeszli, zachowując się tak, jak gdyby nie widzieli więzów krępujących wodza. Patrzyli na mnie z wyrazem szacunku i rzucili okiem na emigrantów. Na Meltona nie spojrzeli wcale. Można było z tego wnioskować, że Mimbrenio dobrze się wywiązał z poselstwa i zdołał ich przekonać o winie i przewrotności Meltona. Musiałem się przede wszystkim dowiedzieć, dlaczego nie przybył z nimi Mimbrenio. Zerwałem z wodza więzy i rzekłem:

— Mój czerwony brat niech bierze udział w naradach jako wolny człowiek. Zanim jednak rozpoczną się, muszę wiedzieć, dlaczego nie wrócił mój posłannik?

Najstarszy Jurna odpowiedział:

— Pojechał na zachód, aby sprowadzić Wellera.

— Wellera? — zapytałem. — Postąpił bardzo nieroztropnie. Mnie powinien był go zostawić. Weller i tak nie uszedłby nam.

— Old Shatterhand jest znakomitym wojownikiem, moje zaś czyny nikłe. Niech mi jednak wybaczysz, że będę innego zdania. Weller zamierzał się ulotnić.

— Jak to? Wszak pojechał na zwiady, musi zatem wrócić i wpaść w nasze ręce?

— Nie, ponieważ wrócił już i uciekł, skoro się dowiedział o misji Mimbrenia.

— Dlaczego wojownicy Jumów go nie zatrzymali?

— Czyż mogliśmy? Wszak jest jeszcze naszym bratem i przyjacielem.

— Czy Weller ma dobrego konia?

— Tak, lecz koń jego jest zmęczony długą jazdą przez pustynię i odczuwa pragnienie.

— W takim razie Mimbrenio wkrótce go doścignie. Dojdzie między nimi do walki. Pragnąłbym jej zapobiec, lecz nie mogę stąd odjechać, dopóki nie porozumiem się z wami. Wówczas odezwał się wódz:

— Jeśli Old Shatterhand chce jechać na pomoc Mimbreniowi, niechaj to uczyni bez obawy. Nie zawieziemy jego zaufania. Biali ludzie mogą zabrać oręż moich wojowników i uważać ich za jeńców do chwili twego powrotu.

— Zostanę jeszcze tutaj — odparłem. — Jeżeli się pospieszymy z układem, zdążę przybyć na czas.

— Muszę zwrócić uwagę mego białego brata, że wszystko można przyspieszyć, tylko nie układy o pokój. Lepiej więc będzie, jeśli mój biały brat pojedzie na pomoc Mimbreniowi, zanim zaczniemy radzić.

Starszy wojownik dodał:

— Oki Shatterhand może zostać z nami, Mimbrenio ma pod sobą wyśmienitego rumaka i na swój wiek jest bardzo rozumny i rozważny.

Jakby na potwierdzenie tych słów, dobiegi nas odgłos strzału i na zachodzie ukazał się jeździec, pędzący w kierunku południowym. Zauważyliśmy jednak niebawem, że stałe zbacza z prostej linii, jak gdyby ktoś go na nas napędzał. Wkrótce ukazał się drugi jeździec. Był mniejszy od pierwszego i dosiadał lepszego konia. Mieliśmy więc przed sobą Wellerera i Mimbrenia; Weller od czasu do czasu odwracał się i strzelał do czerwonoskórego, który odpowiadał niekiedy wystrzałami ze strzelby, nie pozwalając ściganemu skrócić w inną stronę. Obydwaj pudłowali: Mimbrenio rozmyślnie, Weller zaś dlatego, że jak się później okazało, ładował broń ślepyimi nabojami:

Trzeba było pomóc Mimbreniowi. Dopadłem swego wierzchowca i pojechałem im naprzeciw. Weller, gdy mnie zauważył, spiał gwałtownie konia ostrogami i pogalopował. Ale już po dwóch minutach wyprzedziłem go, zatrzymałem się i zawołałem:

— Złaz z konia, mister Weller, jeżeli nie chcesz, aby cię strąciła moja kula.

Roześmiał się złowrogo, wycelował we mnie ze strzelby. Przy tak gwałtownych ruchach niepodobna było trafić. Strzał padł, ale bez skutku.

Kiedy się odwrócił, miał przed sobą Mimbrenia, który osadził konia w miejscu i trzymał broń w pogotowiu. Wzięty między dwa ognie Weller miał tylko jedno wyjście, mianowicie drogę prowadzącą do naszego obozowiska. Moi ziomkowie nie mieli odpowiedniego uzbrojenia, aby go zatrzymać, Mimbrenio był jeszcze daleko, więc ja m musiałem go ująć. Mogłem łatwo zastrzelić pod nim konia, nie chciałem jednak uśmiercać niewinnego zwierzęcia z powodu tego łotra. Nie posłałem za nim kuliki, chciałem go mieć żywego.

Teraz w dubeltówce Wellerera był tylko jeden nabój. Pędziłem za nim, lecz nie wprost, gdyż chciałem, aby wystrzelił, zanim się zbliży na dogodną odległość, aby go ująć. Dlatego zawołałem po raz drugi:

— Zatrzymaj się, master, bo strzelam!

Jak przewidywałem, odwrócił się szybko i wypalił. Zsunąłem się po indiańsku po boku konia, a kiedy kula przeleciała nade mną, wyprostowałem się i pocałowałem za Wellerem. Wówczas odrzucił flintę i wyciągnął zza pasa rewolwery. O tym nie pomyślałem. Nie chciałem narażać niepotrzebnie swego życia. Krzyknąłem więc:

— Odrzuć rewolwer, bo strzelę naprawdę!

Nie usłuchał, czekał, aż się zbliży, chcąc tym pewniej trafić. W pełnym galopie stanąłem w strzemionach, by sprawniej wycelować, przyłożyłem sztucer i wystrzeliłem. Weller krzyknął, wypuścił rewolwer z ręki, która opadła w dół. W kilka sekund później byłem już przy nim i zarzuciwszy sztucer na plecy, wyciągnąłem ręce do Wellerera.

— Na dół! — krzyknąłem. — Jeśli dobrowolnie nie zejdziesz, zrzucę cię siłą.

Złapałem go oburącz, aby wysadzić z siodła. W tej chwili lewą ręką wyciągnął drugi rewolwer i odpowiedział, śmiejąc się szyderczo:

— Powoli, mister Shatterhand. Nie pan mnie, lecz ja pana mam w mocy.

Usiłował wystrzelić. Nie zdążył jednak, bo lewą ręką wyrwałem mu broń, prawą pięścią zaś uderzyłem go z całej siły, aż go zamoczyło. Zatrzymałem konie, zeskoczyłem i ściągnąłem nędznika. Nieprzytomny zwał się na ziemię.

Przede wszystkim związałem Wellerowi ręce jego własnym pasem. Zabrałem wszystko, co znalazłem przy nim, nie uważając się z tego powodu za rabusia. Rzeczy te mogły mi się bardzo przydać. Był wśród nich pugilares oraz wiązana z grubego jedwabiu sakiewka, przez której oka przeświecały złote monety.

Tymczasem nadszedł Mimbrenio, który zsiadł z konia, aby podnieść odrzuconą strzelbę i obydwie rewolwery. Powoli twarz Wellera zaczęła się ożywiać. Otworzył oczy i syknął jadowicie:

— Człowieku, czego chcesz ode mnie? Zostaw mnie w spokoju, puść mnie dla własnego dobra.

Wyraźnie słychać było, że pogryzł sobie język na skutek uderzenia, które podbiło mu dolną szczękę do góry.

— Babskie gadanie — odpowiedziałem. Podnieś się i chodź ze mną.

— Ani myślę. Nie ruszę się z miejsca, dopóki mnie master; nie uwolni.

— Mógłbym na to przystać. Związałbym tylko panu nogi i pozwolił leżeć, tak długo, aż pańskie ciało pożrą sępy. Postąpię jednak bardziej po ludzku, choćby się to miało stać wbrew pana woli. A więc na nogi!

Jumowie byli świadkami tego zdarzenia. Mój czyn przez szacunek pominęli milczeniem, lecz małemu Mimbreniowi gratulował Przebiegły Wąż:

— Mój młody brat będzie dzielnym Wojownikiem. Cieszę się, że zawieram z tobą pokój i że z wroga stanę się jego przyjacielem.

Tymi słowy zagajono obrady, które trwały przeszło dwie godziny i doprowadziły do pożądanego wyniku. Na mocy układu miałem wydać Meltona Przebiegłemu Wężowi i nie stawiać przeszkód jego małżeństwu z Judytą. W zamian przyrzeczono mi wszystko, czego żądałem. Kiedy przybyłem w te strony z małym Miimtorem, nie mogłem się spodziewać tak pomyślnego i zakończenia. Naturalnie, wypaliliśmy kalumet pokoju, po czym udałem się do obozu Jumów, aby pociągnąć z fajki z każdym czerwonoskórym, co było konieczne ze względu na nasze bezpieczeństwo. Teraz byłem pewien, że wszystkie punkty umowy zostaną wiernie dochowane.

— Czego pragnie obecnie mój biały brat? — zapytał Przebiegły Wąż. — Czy wódz Apaczów przybędzie do nas, czy też my udamy się do niego?

— Raczej my do niego. Muszę się poradzić w tej sprawie moich białych braci.

Najpierw jednak przejrzałem zawartość pugilaresu i sakiewki Wellera. W pierwszym znalazłem pięć tysięcy dolarów w tych samych papierach wartościowych, które posiadał Melton, w drugiej niecałe pięćset dolarów w złocie. Później zwołałem ojców rodzin i nieżonatych mężczyzn.

Kiedy się zebrali, wziąłem na stronę Judytę i jej ojca:

— Czy zakomunikowała pani ojcu o swoim porozumieniu z Indianinem?

— Tak — odpowiedział stary. — Córka opowiedziała mi o zaszczycie, którego wkrótce dostąpi, zostając żoną wodza indiańskiego plemienia.

— Czy pan się z tym godzi?

— Czemu nie? Jest to wielki los szczęścia zarówno dla niej, jak dla mnie, gdyż przez to staniemy się wielce szanownymi i potężnymi osobistościami w Meksyku i Ameryce.

— Zdaje się, że pan niewłaściwie wyobraża sobie polityczne znaczenie szczepów indiańskich i społeczne stanowisko ich wodzów. Uważam za swój obowiązek powiedzieć panu, że...

— Niech mi pan, nic nie mówi! — przerwał. — Testem dobrym ojcem dla mojej Judyty i dlatego chętnie przychyliam się do jej słów i życzeń. Będziemy mieć władzę nad szczepem

indiańskim. Będziemy mogli stroić moją córkę w aksamity i jedwabie. A może pan przypuszcza, że wódz jej tylko nakłamał o złocie i klejnotach?

— Bynajmniej. Istnieją tu ukryte skarby, strzeżone wiernie przez potomków dawnych Meksykańczyków. Wódz nie jest kłamcą i wywiąże się z przyrzeczenia. Lecz pan musi, do tego co on mówi, odnosić się z dużą tolerancją i sceptycyzmem.

— Dla mnie wystarczy, że ma złoto.

— Jeśli pan tak uważa, to będę milczał, tym bardziej, że przyrzekłem Indianinowi nie przeszkadzać mu w jego poczynaniach. Życzę panu, abyś się nie rozczarował. Co zamierza pan teraz uczynić? Chcę doradzić pańskim towarzyszom wyjazd z Sonory i w ogóle z Meksyku.

— Czy myśli pan, że się zgodzą?

— Jeśli są roztropni, to na pewno.

— A propos. Słyszałem, że pan miał sobą jakąś kwotę. Czy to prawda?

— A jakże, święta prawda! — potwierdził skwapliwie. — To było piękne, dobre, prawdziwe złoto w okrągłych, cudnie dźwięczących monetach, przechowywane w sakiewce, którą z jedwabiu zrobiła Judyta.

— Ile wynosiła ta kwota?

— Czteryście dolarów, które odebrano mi w podziemiach. Złodziejem jest Weller, ten który jest ojcem Wellera juniora. Skoro pojmał pan złodzieja, bądź pan zatem łaskaw odebrać mu zdobycz.

— Czy to ta sakiewka? — zapytałem, wyciągając worek z kieszeni.

— To ona, to ona! — krzyknął ucieszony, wrywając mi ją z ręki. — To, ta sama. Obliczę natychmiast pieniądze, aby sprawdzić, czy nie zostałem okradziony.

— Niech pan tak nie krzyczy. Weller nie wie jeszcze, że mu odebrałem sakiewkę i nie powinien się chwilowo o tym dowiedzieć.

Oddalił się szybko, nie podziękowawszy mi nawet. Przykucnął wraz z sakiewką na ziemi i wziął się do liczenia monet. Wróciłem do emigrantów, powiedziałem im, że najlepiej uczynią, zabierając się stąd czym prędzej, w końcu zaś dodałem:

— Wraz z Winnetou pojedę do Rio Peso, a więc do Teksasu. Tam jest dużo dobrej ziemi i zdrowy klimat. Chcę was zabrać ze sobą. Naradźcie się i dajcie mi niezwłocznie odpowiedź, co postanowiliście.

Odszedłem, aby mogli się spokojnie naradzić. Kiedy wróciłem, rzekł do mnie jeden z nich, wybrany do przemawiania w imieniu gromady:

— Pańska propozycja jest bardzo dobra, lecz nie wydaje się nam, aby była możliwa. Przede wszystkim nie musimy stąd odejść, ponieważ wkrótce rozpocznie się długa sprawa Wellera i Meltona, w której jesteśmy świadkami.

— To niczemu nie powinno przeszkodzić. Meltona wydałem czerwonoskórym. Co się tyczy Wellera, nie wiadomo, czego można się jeszcze po nim spodziewać. Roztrzaskałem mu kulą rękę i ramię, co w tutejszym klimacie jest niebezpieczne dla białego. Zresztą, przyprowadzałem policjanta i wyższego urzędnika z Ures, którzy na miejscu przeprowadzą śledztwo, po czym będziecie wolni. Jakie jeszcze przeszkody widzicie?

— Trzeba przejść przez dziki kraj. Czy nasze kobiety i dzieci wytrzymają podobną wędrówkę?

— Na pewno, jeżeli najpierw odpowiednio wypoczną. Nie jest tak źle, jak pan myśli. Będziemy się posuwać powoli, abyście zdołali nadążyć. Dostarczę wam koni. Prócz tego mamy wiele wozów z żywnością i innymi niezbędnymi rzeczami. Nie zaznamy głodu.

— To świetnie. Ale pozostaje jeszcze rzecz najważniejsza, a jest nią złoto.

— O, mniejsza o nie, gdyż nie sprawia żadnych trudności.

— Żadnych trudności? — zawołał zdumiony emigrant. — Może panu, ale nie nam. Nie posiadamy ani grosza, żywność zaś i konie trzeba kupować za gotówkę.

— Żywność wam daruję, a konie pożyczymy od Jumów. Nasi czerwoni przyjaciele pomogą nam chętnie w zamian za drobnostkę, za pewien podarunek.

— Kto im da ten drobiazg?

— Ja.

— Do licha! Wzbogacił się pan nagle? Kiedy przybył pan na okręt, wyglądał pan na uboższego od nas.

— Udawałem tylko. Na ogół zaś można być bogatym, nie posiadając pieniędzy; bywają różne rodzaje bogactwa. Ale do rzeczy. Czy są jeszcze jakieś przeszkody?

— Największa. Pieniądze na zakup ziemi. Wszak musimy za nią zapłacić?

— Bez wątpienia. Dam wam na to pieniądze.

— W takim razie nie mamy już żadnych trosk. Idziemy z panem. Pożyczmy nam pan pieniędzy na zagospodarowanie. Będziemy solidnie pracować i płacić regularnie procenty, a z czasem spłacimy również kapitał.

— Procenty? Kapitał? Jesteście w błędzie. Nie ma mowy o procentach ani o spłacaniu kapitału.

Emigrant spojrział na mnie zdumiony, powiódł wzrokiem dokoła, po czym z niedowierzaniem zapytał:

— Czy dobrze słyzałem?

— Tak.

— To chyba niemożliwe! Czy jest pan aż tak bogaty, że może ofiarowywać podobne sumy?

— Przeciwnie, jestem tak biedny, że mogę ofiarować takie sumy. Wyjątkowo jestem teraz w stanie rozdzielić między was trzydzieści tysięcy dolarów.

— Trzydzieści tysięcy dolarów! Niebiosa, takie mnóstwo pieniędzy! Skąd pan wziął tyle?

— Później się dowiecie. Tymczasem odpowiedzcie mi na parę pytań. Byliście ubodzy, każdy jednakże posiadał chyba jakiś dobytek?

— Tak. Niektórzy posiadali małe domki, inni co najmniej sprzęty gospodarstwa domowego, a więc łóżka, meble, ubiory...

— Namówieni przez agenta sprzedaliście wszystko. Ile za to otrzymaliście?

— Niewiele. Przejedliśmy to zresztą w drodze.

— A więc pozbawiono was ojczyzny i dobytku. Zwabiono was fałszywymi przyrzeczeniami i wtrącono do szybu, gdzie mieliście pracować bez wynagrodzenia, bez wytchnienia, o głodzie i o pragnieniu, aż do rychłej i okropnej śmierci. Dlatego dam wam pieniądze, które odebrałem Meltonowi i Wellerowi.

— Słusznie, słusznie, słusznie! — odpowiedziano gromadnie.

— Dobrze. Melton i Weller nie wiedzą jeszcze, że mam ich pieniądze. Pierwszy je zakopał i nigdy już się nie dowie o ich stracie. Weller miał pięć tysięcy, Melton ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

Zaległo tak głucho milczenie, że słycać było szmer oddechów. Ja zaś mówiłem dalej:

— Nikt oprócz nas nie powinien się o tym dc wiedzieć. My wiemy, że nasza sprawa jest słuszna, ale ktoś obcy mógłby sądzić inaczej. Niestety, nie całą kwotę rozdzielię pomiędzy was. Część muszę dać hacjenderowi, który poniósł także dużą stratę.

— Wszak zapłacono mu za hacjendę.

— Sumę śmiesznie niską.

— Ale odzyskując hacjendę, zatrzyma zapłatę jako odszkodowanie. Czy to nie wystarczy?

— Sądzę, że tak. To się zresztą zobaczy. Ale są jeszcze inni poszkodowani, mianowicie kupiec z Ures, od którego Melton nabył towary przez nas zagarnięte. Przy dostarczeniu ich miała być dopłacona reszta należności. Ponieważ przyrzekłem woźnicom, że nie poniosą żadnego uszczerbku, więc muszę dotrzymać słowa i zapłacić. Pozostałość rozdzielię pomiędzy was.

— Ale w jakim stosunku?

— Powinniście omówić tę sprawę w swoim gronie i przedstawić mi wnioski. Ale nie mówcie mi o tym, dopóki nie znajdziemy się w Chihuahua, na terytorium Apaczów, gdyż zbytnia gadatliwość może łatwo przekreślić cały ten piękny plan. Wiedźcie, że każdy na pewno otrzyma tyle, że będzie mógł nabyć działkę ziemi i należycie się urządzić.

Mówca podszedł do mnie, uściskał mi dłoń i rzekł:

— To, co pan dla nas uczynił, oszałamia nas do tego stopnia, że na razie nie jesteśmy w stanie docenić pańskiej dobroci. Czym potrafimy się panu odwdziżyć?

— Rzetelną pracą na roli. Nie należą mi się żadne podziękowania, ponieważ tylko przypadkowi zawdzięczacie te pieniądze.

Pozostali również serdecznie uścisnęli mi dłoń. Wróciłem do wodza, który oczekiwał rezultatu naszej narady.

— Udam się z moimi białymi przyjaciółmi do Chihuahua — oświadczyłem. — Czy mógłby mój czerwony brat pożyczyć nam koni?

— Ile tylko trzeba będzie. Mamy sporo koni, których używaliśmy do transportu.

— Czy będziemy mogli przejść bezpiecznie przez teren Jumów?

— Moi wojownicy obronią was przed innymi szczepami, jeśli te nie zechcą przystąpić do naszego układu.

— Jak się rzecz ma z Vete-ya? Czy spodziewasz się jego przybycia?

— Miał wrócić po uprowadzeniu stada z hacjendy.

— A więc nie dziś ani nie jutro. Możemy zatem jechać do wodza Apaczów.

— Moi wojownicy nie mają koni.

— To zbyteczne, albowiem tylko ty i Mimbrenio będziecie mogli mi towarzyszyć.

— Mimbrenio z nami? Powierzasz więc białych moim wojownikom?

— Tak. Widzisz, jakim darzę was zaufaniem. Czy nie ma dla ciebie konia?

— Oprócz tego, którego odebrałeś Wellerowi, znajdują się tutaj jeszcze dwa, przeznaczone dla mnie i Meltona. Są ukryte za bagnem, przy wschodniej ścianie skały.

— Poślij po nie natychmiast, gdyż musimy czyni prędzej wyruszyć w drogę, aby przed zapadnięciem nocy dotrzeć do obozu Winnetou. Wyślij gońca z rozkazami do wojowników, którzy strzegą koni. Niech przybędą ze wszystkimi zwierzętami jutro wieczorem, bowiem pojutrze rano wyruszamy do Chihuahua.

Objaśniłem moich ziomków, jak mają się zachowywać wobec niedawnych wrogów, a obecnych przyjaciół. Wóda uczynił to samo ze swoimi wojownikami i szczególnie zalecił im nie spuszczać oka z jeńców. Wkrótce ruszyliśmy w drogę galopem, żegnani gromkimi okrzykami.

YUMA TSIL

Pocwałowaliśmy, ponieważ musieliśmy przebyć drogę powrotną o wiele szybciej niż poprzednio. Z lewej strony jechał wódz. Na jego twarzy malowała się zaduma. Nie mógł się jeszcze oswoić z „wypadkami poprzedniego dnia. Za nami jechał Mimbrenio. Jego twarz promieniowała radością. Był zadowolony z nieoczekiwanych wyników naszej wyprawy, do których się w znacznej mierze sam przyczynił.

Rumak Przebiegłego Węża był wypoczęty i dotrzymywał kroku naszym koniom. Gdy słońce zaszło, dotarliśmy do miejsca, z którego poprzednio skręciliśmy na północ. Wkrótce ściemniło się zupełnie. Poleciałem towarzyszom zatrzymać się, chciałem bowiem zaskoczyć naszych przyjaciół. Zsiadłem z konia, odrzuciłem broń i oddaliłem się szybko.

Po upływie dziesięciu minut poczułem zapach spalenizny, świadczący o bliskości ogniska. Gęsty mrok nie pozwolił mi dostrzec posterunków, koło których chciałem się niepostrzeżenie przekraść. Musiałem przeto polegać wyłącznie na słuchu. Alby zmylić wartownika, który zagradzał mi drogę, cisnąłem w bok kilka kamyków. Ich odgłos odwrócił jego uwagę. Dzięki temu szybko zbliżyłem się do obozu. Położyłem się na ziemi i pełzałem powoli naprzód. Przy świetle ogniska zobaczyłem jeńców; dookoła nich leżeli strażnicy. Z prawej strony stały wozy, z lewej siedział Apacz, opierając się plecami o drzewo, obok niego Yuma Shetar, nieco dalej, tuż przy krzewie, za którym się ukryłem, siedziała gromada ludzi, rozprawiająca żywo, choć półgłosem. Między innymi znajdowali się tu stary Pedrillo, cudaczny Don Endimio de Saledo y Coralba, urzędnik oraz hacjendero.

Gdy zniecka wynurzyłem się z zagajnika, don Endimio upadł na wznak z przestachu, krzyknąwszy przeraźliwie, jak gdyby ujrzał upiora Mimbreniowie zapomnieli o swym stoickim spokoju wobec niespodzianki, skoczyli na równe nogi i wytrzeszczyli na mnie oczy. Nawet jeńcy poruszyli się na tyle, na ile pozwoliły im więzy. Spodziewali się wszak, że wpadnę w ręce ich braci.

Naraz z pierwszego wozu rozległ się głośny okrzyk. Leżał tam Player ze związanymi rękami. Zsunął się z wozu, przecisnął przez otaczający mnie tłum i wołał szczerze uradowany:

— Bogu dzięki, że pan wrócił cały. Strach mnie już obleciał.

— Strach? Dlaczego?

— Gdyby pan nie wrócił, posądzono by mnie o fałszywe wskazówki. A wszakże poinformowałem pana rzetelnie.

— Bezwzględnie. Pańskie wskazówki były pierwszorzędne. Stwierdzam wobec świadków, że powzięłem do pana zupełne zaufanie, w dowód czego uwalniam pana z więzów. Proszę, niech pan odbierze swoją broń. Jest pan wolny.

Radość oswobodzonego była ogromna. Aczkolwiek hacjendero nie omieszkał wyrazić swego sprzeciwu.

— Co pan robi, senior? Uwalnia pan przestępcę, który winien być ukarany. Ten człowiek przyczynił się do zrujnowania mojej hacjendy! Rozkazuję panu z urzędu związać go ponownie.

— Hola, panie! Nie jestem na pańskie rozkazy. Ja natomiast rozkazuję panu usiąść i trzymać język za zębami. Nie pan rozstrzyga, kogo mamy więzić, lecz ja i Winnetou. Dowiodę tego panu .natychmiast, uwalniając również pozostałych jeńców.

Mówiąc to, podszedłem do Bystrej Ryby i rozciąłem jego pęta.

— Mój czerwony brat jest wolny. Może się podnieść. Niechaj Mimbreniowie zdejmą ramię z wojowników Jumów. Uwalniam ich wszystkich, gdyż zawarłem pokój i wypaliłem kalumet z — Przebiegłymi Wężem, naczelnikiem Jumów w Almaden.

Rozległ się gromki okrzyk zdziwienia Mimbreniów i okrzyk radości Jumów. Moje słowa wywarły na Winnetou takie duże wrażenie, jak nigdy dotąd. Zerwał się gwałtownie, podszedł do mnie i zapytał porywczo:

- Wypaliłeś kalumet?
- Z wodzem i z jego wojownikami.
- A więc Jumowie odstąpili Meltona?
- Tak. — On i Weller są schwytani, emigranci zaś uwolnieni.
- Gdzie ich zostawiłeś?

— W Almaden, u swoich przyjaciół. Jutro pójdziemy do nich i będziemy obchodzić święto kalumetu.

Winnetou położył ręce na ramionach i zawołał:

— Słyszeliście biali i czerwoni mężowie, czego dokonał sam jeden Old Shatterhand?

— Och, miałem szczęście, wiele szczęścia, a to, co przypisuję własnej zasłudze, również jest zasługą Winnetou, który był moim mistrzem.

Tymczasem uwolniono Jumów z więzów. Strażnicy, zwabieni okrzykami, porzucili stanowiska i wmieszali się w radosny tłum. Przybycie Przebiegłego Węża i Mimbrenia spostrzeżono dopiero wtedy, kiedy już ci zeskakiwali z siodeł. Dzielny chłopak został natychmiast okrążony przez Mimbreniów, a wódz przez swoich ludzi. Powstał jarmarczny zgiełk okrzyków, zapytań, odpowiedzi, gwar tak hałaśliwy, że aż uszy puchły.

Wycofałem się dyskretnie i zająłem się rozkulbaczeniem koni; zabrałem też swoją broń. Następnie usiadłszy przy Apaczu, podjadłem sobie, wychyliłem kilka łyków wybornego wina, którego było sporo na naszych wozach. Powoli uciszyło się dookoła. Mały Mimbrenio został posadzony koło ogniska, aby wszyscy mogli go widzieć i słyszeć, i rozpoczął opowieść o naszych niezwykłych przygodach.

W końcu powszechna ciekawość została zaspokojona. Rozchodzono się i układano do snu. Obrąłem miejsce w pobliżu Herkulesa, który skorzystał z tego, aby się dowiedzieć czegoś więcej o Judycie. Nie wpadło mi nawet na myśl oszczędzać tego olbrzyma; powiedziałem mu całą prawdę, przemilczając jedynie nazwisko narzeczonego Judyty. Byliśmy bowiem odpowiedzialni za naszego gościa, wrazenie zaś, jakie wywarła na . Herkulesie wiadomość o Judycie, nie wróżyła nic dobrego. Wreszcie zaległo głębokie, niczym nie zakłócone milczenie. Po raz pierwszy od wielu nocy można było spokojnie się przespać. Herkules przewracał się z boku na bok, zżerany myślą o niewierności byłej narzeczonej.

Ze świtem uformował się pochód i wyruszył do Almaden. Pędziliśmy co koń wyskoczy i już przed wieczorem przybyliśmy do celu, witani radośnie zarówno przez białych, jak czerwonych.

Trzeba było zaprowadzić konie do wody, która się znajdowała w bocznej jaskini. Przy tej okazji Jumowie ze zdumieniem dowiedzieli się o jej istnieniu.

Wkrótce potem zdarzył się wypadek, który pociągnął za sobą smutne następstwa. Melton i Weller, spostrzegłszy Playera na wolności, .wezwali go do siebie. Player przyznał się szczerze do swoich postępów.

— Czy możesz .nam powiedzieć — zapytał Weller — co z nami zamierzają robić?

— Obawiam się, że nic dobrego — odpowiedział Player.

— Właściwie zasłużyłeś na ten sam los, co my, jednakże cieszy mnie, że jeden przynajmniej zdoła go uniknąć. Lecz powiedz mi, co słyhać z moim synem?

— Chcesz się dowiedzieć prawdy?

— Mów! Byle prędzej! Wiesz, że nie jestem słabeuszem.

Istotnie nie był słabeuszem, a jednak w oczach jego widniał strach i oczekiwanie. Objawił się w nim ojciec. Ponieważ Player ociągał się z odpowiedzią, więc uprzedził go:

— Mówże prawdę, nie żyje?

— Tak.

— Nie żyje, nie żyje... — powtórzył, przymykając powieki.

Widać było, że wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi. Policzki zapadły, twarz przybrała trupi wyraz. Wreszcie otworzył oczy i zapytał:

— Jaką śmiercią umarł?

— Zaduszony przez...

— Przeze mnie! — krzyknął Herkules, który znajdował się w pobliżu. — Łotry, myśleliście, że umarłem, ale mój czerep jest mocniejszy, niż przypuszczaliście. Wpadłem tylko w malignę i zadusiłem rękami tego hultaja, tak samo jak ciebie wnet zaduszę!

Weller ponownie przymknął powieki. Jakże musiało w nim wszystko kipieć! Kiedy znów otworzył oczy, malowało się w nich przeciwieństwo tego, czego się można było po nim spodziewać: nie nienawiść, nie złość ani wściekłość, lecz łagodny, niemal wzruszający wyraz pogodzenia się z losem. Obojętnym tonem zapytał Playera:

— A więc to ty zaprowadziłeś Winnetou i Old Shatterhanda?

— Nie przeczę. Ale znaleźliby drogę beze mnie.

— Być może. Była to jednak z twojej strony zdrada. Obyś się był jej nie dopuścił! Twoje odstępstwo rozpoczęło szereg naszych klęsk. Nie wyjdziemy z nich żywi. Chciałbym zatem rozporządzić się mieniem i poprosić cię o pomoc. Czy jako stary druh spełnisz moje przedśmiertne życzenia?

— Chętnie, jeśli to będzie w mojej mocy.

— Zbliź się więc do mnie.

Player podszedł o krok bliżej i nachylił się nad nim. Niepokój jakiś obudził się we mnie. Chciałem go ostrzec, ale przed czym? Wszak Weller członki miał skrepowane pętami, a ponadto mój celny strzał pozbawił go władzy w prawej ręce.

— Muszę ciszej do ciebie mówić, bardzo cicho. Zbliź się jeszcze bardziej, uklęknij przy mnie.

Player spełnił, niestety, jego prośbę i wówczas z błyskawiczną szybkością zdarzyło się coś nieoczekiwanego, coś straszliwego. Weller oparł się łokciami o ziemię, podniósł szybko nogi skrepowane w kostkach i natychmiast opuścił je na ramiona Playera, którego szyja wskutek tego utkwiała niby w cęgach między kolanami Wellera. Ten ścisnął je z całej siły, aż twarz Playera nabiegła krwią.

Powszechnie wiadomo, jaka moc tkwi w kolanach dorosłego mężczyzny. Wzmagął ją w tym wypadku fakt, że nogi były związane, tworząc niejako punkt oparcia dla tej podwójnej żywej dźwigni kolan. Wystarczyłaby jedna minuta, aby Player wyzionął ducha. Natychmiast skoczyłem na pomoc. Wyprzedził mnie jednak nasz Goliat. Rzucił się na Wellera, ścisnął jego szyję w rękach jakby w kleszczach i zawołał:

— Ty sam zginiesz zaduszony, jak ci to przed chwilą przyrzekłem!

Była to niedźwiedzia przysługa dla Playera, ze strachu bowiem Weller jeszcze mocniej ścisnął kolana. Usiłowałem odciągnąć ich od siebie — na próżno. Żadna moc ludzka nie zdołałaby osłabić tego wściekłego natężenia mięśni i nerwów. Przede wszystkim należało natychmiast zadziałać. W tym celu przeciąłem sznury, wiążące kostki nóg mormona. Dzięki temu mogłem rozewrzeć jego nogi i kolana. Głowa Playera opadła ciężko na ziemię. Leżał jak martwy, z twarzą spuchniętą i zsiniałą.

— Niech pan puści Wellera! — krzyknąłem do atlety. — Zamordujesz go!

— Zamorduje? — roześmiał się wściekle. — O nie, tylko go ukaram!

Kiedy go wreszcie oderwałem, było już za późno. Weller leżał martwy. Natomiast Player zaczął łapać oddech i wracać do siebie.

— Czy rozumie pan, że jest mordercą? Muszę pana związać i przekazać sądowi! — krzyknąłem do atlety wobec gromady, która przyglądała się niesamowitej scenie.

— Morderca? — odparł. — Pomieszał pan pojęcia. Jakże mnie pan przekaże sądowi, kiedy ja sam dokonałem czynności sędziego?

— Nie sędziego, lecz kata! Napelnia mnie pan wstrętem.

— Istotnie? Hejże, niech mi pan przy tej sposobności powie, kto jest narzeczonym Judyty!? Ręka mnie świerzbi. Chciałaby tak samo rozprawić się z szyją tego gacha!

Widać było, że gotów wykonać pogroźkę. Nie miałem wcale zamiaru zaspokoić jego ciekawości, natomiast wyręczył mnie kto inny — ojciec Judyty, który rzekł, zanim zdążyłem temu zapobiec;

— Może pan się dowiedzieć. Córka moja najukochańsza nie ma potrzeby rzucać się w objęcia byle jakiego wędrującego błazna, ma ona zostać władczynią znakomitego szczepu indiańskiego i błyszczeć od klejnotów, od złota, od jedwabiu niby królowa.

— Władczynią szczepu indiańskiego? Jak mam to rozumieć?

— Należy rozumieć, że będzie podziwianą i uwielbianą małżonką Przebiegłego Węża, który jest wodzem Jumów.

— Co takiego? Judyta ma zostać Indianką? — olbrzym śmiał się niedowierzająco. — Kpiny sobie pan ze mnie stroi!

— Nic podobnego. Zostajemy z Jumami, ja i Judyta, pan zaś uda się do Teksasu.

Atleta przetarł oczy, wodził nimi dookoła, aż wlepił we mnie:

— Niech pan powie, co mam myśleć o banialukach tego starca?

Nie mogłem go już dłużej pozostawiać w nieświadomości:

— Słyszał pan prawdę. Wódz pragnie poślubić Judytę i tym uwarunkował zawarcie pokoju.

— Wódz?... To niemożliwe. To dziewczę, ten cud piękności rzuca się na szyję czerwonoskóremu? Pan kpi w żywe oczy, wypraszam to sobie!

— To fakt.

— W takim razie albo ja, albo wy jesteście niespełna rozumu. Powiedz mi, Judyto, czy to prawda?

— Tak — potwierdziła wyniośle. — Będę królową Jumów.

— Naprawdę, naprawdę? Więc to nie żart?

Byłem zaniepokojony podnieceniem Herkulesa, które wzmagало się z chwili na chwilę. Chciałem mu wytłumaczyć, ale na nieszczęście dziewczyna uprzedziła mnie w odpowiedzi:

— Z tobą nie żartowałabym nawet. Zaręczyłam się z wodzem; możesz sobie pójść, dokąd cię oczy poniosą!

Oczy wyszły mu z orbit, ścisnął pięści i groźnie zerknął na wodza. Katastrofa była nieunikniona. Siłą zaczął torować sobie dostęp do Przebiegłego Węża, który stał na uboczu z garstką wojowników.

— Z drogi, z drogi! Miejsce dla mnie! Muszę się rozmówić z gachem, rozmówić na pięści. Wyślę go w ślady Wellerów!

Było rzeczą jasną, że wykona groźbę, jeśli mu się uda osiągnąć wodza. Pobiegłem za nim, przytrzymałem go z tyłu i zawołałem:

— Uspokój się nieszczęśliwczu. Nic się już nie da zrobić. Wódz jest pod moją opieką. Zastrzelę każdego, kto ośmieli się go tknąć.

Obrócił do mnie wykrzywioną grymasem twarz i syknął przez zęby:

— Drabie, puść, bo zaduszę! A może myślisz, że ja się ciebie zleknę?

W tym stanie mógł się powazyć na wszystko. Odstąpiono od niego. Wyciągnąłem rewolwer i zawołałem:

— Jeśli się pan na krok przybliży do mnie lub do wodza, palnę ci w łeb. Przeobraziłeś się w bestię, którą musimy poskromić. Wściekłością nic nie wskórasz. Miliony dziewcząt chodzą po świecie. Sięgnij po rozum, uspokój się, zastanów!

— Uspokoić się? Tak, ale uspokoję również innych. Powiada pan, że nic już się nie da zmienić?

— Powiedziałem i przestrzegam pana.

— To był warunek pokoju, że Judyta zostanie żoną wodza? I pan będzie go bronił?

— Nie tylko ja, ale wszyscy, którzy tu jesteśmy. Nie uda się panu nawet podejść do niego. Nie dopuścimy, bo tego wymaga nasz obowiązek. Nie możemy pozwolić, aby ktoś dla prywaty

łamał pokój i narażał nas wszystkich na, niebezpieczeństwo stokroć groźniejsze niż to, którego uniknęliśmy. Jeśli pan zabije wodza, wojownicy jego napadną na nas.

— Boi się pan? Ludzie, posłuchajcie, sławny Old Shattetrhand się boi! Ale trudno, ma rację. Nie powinienem narażać waszej delikatnej skóry i cennej krwi. Lecz ja nie lękam się krwi, przekonacie się o tym natychmiast. Czerwonemu nie stanie się krzywda, ja będę spokojny, a Judyta, jego narzeczona, również. Dawać tu strzelbę, którą przecież nie umiecie się posługiwać,; tchórze podli!

Najbliżej Herkulesa stał urzędnik i hacjendero. Pierwszy był wprost śmiesznie uzbrojony od stóp do głów, hacjendero zaś nosił za pasem rewolwer. Atleta szybkim ruchem wyrwał jednemu i drugiemu po rewolwerze, wycelował jeden w Judytę, drugi w swoją skroń i odwiódł kurki., Większość obecnych krzyknęła z przerażenia. Przewidywałem taki obrót rzeczy. Skoczyłem więc i podbiłem mu prawą rękę do góry, tak że kula przemknęła ponad głowami obecnych. Padł drugi strzał. Herkules zatoczył się, opuścił ręce i osunął w moje rozwarte ramiona. Niestety, nie zdołałem zapobiec drugiemu strzałowi z rewolweru, który trzymał w lewej ręce; wpakował sobie kulę w skroń.

— Spokojnie, spokojnie — wyszeptał martwiejącymi ustami i zakończył życie, życie smutne, bez odwzajemnionej miłości.

Złożyłem go ostrożnie na ziemi. Nie potrafię opisać, co się we mnie działo. Głęboki żal i wściekłość targały strunami mej duszy. Samobójca był człowiekiem słabym, bez charakteru, ale wierny jak pies i dobry choć do rany przyłóż. Chciwość i przewrotność Judyty, która zagnała go na obczyznę, teraz nieszczęsnego wpędziła do grobu. Ta fałszywa istota, która nie znalazła dla mnie słowa podziękki za uratowanie życia, nie znalazła również słowa żalu, słowa litości nad zmarłym biedakiem, ona, która była bezpośrednią przyczyną jego samobójstwa. Wzięła ojca pod ręką i rzekła:

— Jakże głupio i brzydko postąpił! Mógł pojechać do Teksasu albo jeśli mu życie obrzydło, odebrać je sobie gdzieś w ukryciu z dala ode mnie. Nie chcę go widzieć. Chodźmy stąd!

Odeszli. Nie mogąc pohamować gniewu, zawołałem za nimi pełnym wściekłości głosem:

— O tak, odejdźcie, zniknijcie stąd! Niech pani zejdzie mi z oczu. Jeśli panią jeszcze raz ujrzę, gotów jestem zapomnieć, że jest pani kobietą, i każę lassem wychłostać twoje plecy, aby przynajmniej tym obudzić uczucie, którego brak pani sercu, dumna królowo Jumów!

Przyjęła poważnie moją groźbę i odtąd starała się schodzić mi z oczu. Lecz kiedy ją spotkałem później, w innych okolicznościach, w innym otoczeniu, jako bogatą damę, zdawało się, że zapomniała o mojej groźbie.

Wszyscy towarzysze żalowali Herkulesa z całego serca. Czerwonoskórzy nie rozumieli powodu samobójstwa, ponieważ przez cały czas rozmawiano po niemiecku. Przebiegły Wąż poprosił mnie o wyjaśnienie. Powiedziałem mu:

— Judyta przyrzekła Herkulesowi zostać jego squaw, dlatego towarzyszył jej za morze. Teraz, dowiedziawszy się, że nie będzie jego żoną, z rozpaczy położył kres dniom swego życia.

— Słyszałem, że mierzył w nią również?

— Usiłował ją zabić, nie chcąc jej oddać innemu.

— Tyś ją uratował? Jakże ci jestem wdzięczny! Białe twarze są szczególnymi ludźmi. Żaden Indianin nie targnie się na życie, gdy dziewczyna nie zechce zostać jego squaw, lecz albo ją do tego zmusza, albo śmieje się z niej i bierze sobie inną. Czy białe twarze mają aż tak mało kobiet, że z powodu jednej dziewczyny tracą rozum? Ubolewam nad nimi.

Podczas tego okrutnego zdarzenia nie zwracaliśmy uwagi na Playera, który tymczasem przyszedł do siebie po niebezpiecznym uścisku Wellera. Siedział na ziemi i był świadkiem całej sceny. Teraz podniósł się, podszedł do mnie i rzekł:

— Jak widzę, Weller nie żyje. Wiem, że mnie dusił. Musiał mnie zatem ktoś uratować. Któż to uczynił, sir?

— Wyciągnąłem pana spomiędzy kolan Wellera.

— Przypuszczałem, że to pan. Nigdy nie zapomnę, że zawdzięczam panu życie.
— Zapomnij pan, ale pamiętaj, żeś obiecał poprawę.
— I dotrzymam przyrzeczenia. Lękam się jednak, że hacjendero i urzędnik zażądadają mego ukarania.

— Niech żądają! Nic mnie to nie obchodzi, nic sobie nie robię z ich żądań. Nie powinien pan jednak długo tu pozostawać, ponieważ łatwo mogą pana schwytać i osadzić w więzieniu.

— Pewnie. Najchętniej wywędrowałbym do Teksasu.

— Może pan z nami pójść. Wierzę bowiem, że będzie master uczciwym człowiekiem.

— Niech pan nie myśli nic złego o mnie. Będę o panu pamiętał i to mnie ustrzeże przed błędami. Być może, znajdę pracę u któregoś z emigrantów. Niestety, ci ludzie są zbyt ubodzy, aby mogli najać robotnika.

Mówił to głosem stroskanym. Pragnął rozpocząć nowe życie, lecz nie bardzo wiedział jak. Postanowiłem mu pomóc. Dałem mu również trochę pieniędzy. Odczułem, ściskając mu rękę, przypływ wewnętrznego zadowolenia.

Jeszcze dziękował mi gorąco, kiedy uwagę moją zajęło zbliżające się w galopie stado koni, gnane przez licznych Indian. Były to konie, po które posłał Przebiegły Wąż. Kiedy nadbiegły, miało się już ku wieczorowi.

Czerwoni przewieźli suche wiązki drewna, które pozwoliły nam rozniecić ognisko. Z żywności znalezionej na wozach urządziliśmy sobie ucztę, oczywiście według podjęć tamtejszych, gdyż na naszą miarę była to dosyć skąpa wieczerza.

Po posiłku ułożyliśmy się do snu, wyłączwszy wojowników Jumów, którzy pojechali do Almaden, aby zabrać to, co jeszcze tam zostało. Indianin skrzętnie zbiera przedmioty, które my odrzucamy jako bezwartościowe i umie je po swojemu wykorzystać. Rano zauważyłem w obozie mnóstwo takich rzeczy. Prócz tego przyprowadzili obydwie stare Indianki, zawalili szyb głazami i zasypali wejście do jaskini. Przypuszczam, że do dzisiejszego dnia nikt jej nie odkrył.

Ocknąłem się pierwszy i zacząłem budzić poczciwego don Endimio de Saledo y Coralba oraz jego woźniców. Załatwiłem z nimi rachunki, w tym czasie obudzono innych i zaczęto się pakować pod kierownictwem Przebiegłego Węża. Nie widać było Judyty ani jej ojca. Siedzieli w namiocie wodza. Usiadłem obok Winnetou i przyglądałem się krzątaniu obozowej. Po chwili zbliżył się do nas i hacjendero i urzędnik. Ukłonili się ceremonialnie. Juryskonsulto z uroczystą miną i jak przystało na urzędnika przemówił, zwracając się do mnie:

— Widzę, że pan przygotowuje stado do drogi, senior? Dokąd pan jedzie?

— Do Chihuahua — odpowiedziałem.

— Na to nie pozwalam. Żądam, aby wszystkie osoby, które się tutaj znajdują, udały się ze mną do Ures.

— Prawdopodobnie jako aresztanci?

— Coś w tym rodzaju.

— Proszę więc, niech pan nas zaaresztuje.

— Wolałbym tego uniknąć, wierzę bowiem, że godność mego urzędowego stanowiska skłoni panów do dobrowolnego udania się tam.

— Ponieważ nie widzę tej godności, nie będę przeto postępował według pańskiego życzenia. Nie mam wobec seniora żadnych obowiązków. Ośmiesza się pan tylko. Ani słowa więcej!

Mój ton podzielał. Nie śmiał się odezwać, spojrzął spode łba na hacjendero, który go wyręczył:

— Senior, niech się pan hamuje Pan wie, że znajduje się na moim terenie. Jest pan niejako gościem tutaj.

— O, miałem już przyjemność poznać i ocenić pańską gościnność i jestem za nią niezmiernie wdzięczny. A ponieważ mówi pan o swoim terenie, przeto przypominę seniorowi, że go pan sprzedał. Właścicielem Almaden jest Melton.

— Występuję przeciw niemu sądownie i na pewno odzyskam swoją posiadłość. Mogę się uważać już teraz za absolutnego właściciela i żądam, aby każdy, kto przestąpi granice Almaden, respektował moje żądania, które są zarazem żądaniami mego czcigodnego przyjaciela.

— Jakże brzmią te pańskie żądania

— Domagam się, aby senior udał a z nami do Ures, nie tylko jako świadek, lecz również jako oskarżony.

— Oho, oskarżony? O co?

— Tam się pan dowie. Nie mam potrzeby teraz o tym mówić!

— Dobrze, nie mówimy więc. Ja także nie mam potrzeby rozmawiać z panem i z pańskim przyjacielem. Jeżeli pan chce mieć Meltona, niech się senior sam zwróci do Przebiegłego Węża.

— Żądam go od pana. Pan pojmał wodza i pan mi za niego odpowie!

W tej chwili podniósł się Winnetou, wyciągnął rewolwer i zapytał swoim spokojnym, a jednak dobitnym głosem:

— Czy białe twarze wiedzą, kto przed nimi stoi?

— Winnetou — odpowiedział hacjendero.

— Tak, Winnetou, wódz Apaczów — potwierdził urzędnik.

— Ale czy wiedzą białe twarze, że Winnetou nie lubi próżnego gadania i nie znosi błaznów? Życzę sobie pozostać sam z moim przyjacielem Old Shatterhandem. Będę liczył do trzech, jeżeli któryś z was tutaj jeszcze pozostanie, nie ujdzie z życiem.

Mówiąc to, skierował na nich rewolwer.

— Raz...

Urzędnik dał drapaka.

— Dwa...

Umknął też i hacjendero.

— Nie ma więc potrzeby liczyć do trzech — uśmiechnął się Apacz.

Śmieszni tchórze stanęli w przyzwoitej odległości od nas i omawiali coś żywo, po czym udali się do namiotu wodza. Widzieliśmy, jak rozmawiali z nim, ale trwało to niezbyt długo, gdyż nagle wódz wyrwał z ziemi oszczep, na którym znajdował się totem, i począł okładać urzędnika. Juriskonsulto wybiegł czym prędzej, miotając przekleństwa, a w ślad za nim pognął don Timoteo, wołając nie doświadczać podobnych cięgów.

Zrażony zuchwałością hacjendera, zaniechałem myśli wynagrodzenia go pieniędzmi Meltona, a postanowiłem w całości oddać je biednym emigrantom. Jednakże zanim wyruszyliśmy, zwróciłem się do don Timotea:

— Senior, oto jest pański kontrakt z Meltonem oraz listy, które dostatecznie dowodzą, że Melton był sprawcą napadu na hacjendę. Dzięki tym dokumentom odzyska pan rychło majątek i zatrzyma pobraną już zapłatę jako odszkodowanie. Bądź pan zdrów i staraj się na przyszłość okazać skromność i roztropność większą, aniżeli dotychczas.

Pożegnałem go na zawsze. Zwróciłem również emigrantom ich umowy, które natychmiast zostały podarte na kawałeczki. Dosiadłszy koni, pojechaliśmy.

Hacjendero, urzędnik, policjanci i don Endimio de Saledo y Coralba odprowadzali nas wzrokiem. Stary Pedrillo zegnał głośnymi życzeniami, jego podwładni wtórowali mu, reszta milczała.

Można sobie wyobrazić, z jakimi oznakami radości zegnali moi ziomkowie tę miejscowość, która była terenem ich męczarni i miała stać się ich grobem. Ja również odjeżdżałem zadowolony z dobrych wyników naszego przedsięwzięcia. Co prawda sądziłem, że jeszcze oczekuje nas niebezpieczna przeprawa z Vete-ya, ale spodziewałem się również przybycia Silnego Bawołu. Gdzie i kiedy ich spotkam,” tego nie mogłem przewidzieć.

Droga do Chihuahua prowadziła przez pustynię, później przez wąski teren Jumów, następnie zaś przez ziemie, o które Jumowie walczyli z Mimbreniami. Na tym jedynie odcinku można było napotkać trudności.

Na przodzie jechali znający drogę wojownicy Jumów. Ja galopowałem obok Winnetou i Przebiegłego Węża, w pobliżu zaś znajdowali się obydwaj synowie Nalgu Mokaszi. Meltona, skrepowanego linami, prowadziła silna eskorta. Na końcu jechała Judyta i jej ojciec w otoczeniu kilku Jumów.

Dodać trzeba, że jeszcze nad ranem pogrzebaliśmy Wellera i atletę. Spoczęli obok siebie, zamordowany i morderca, w obcej ziemi, która odmówiła im tego, czego tak namiętnie szukali: jednemu — złota, drugiemu — miłości.

Wieczorem pierwszego dnia wyjechaliśmy z pustyni i rozbiliśmy obóz na łące, gdzie konie znalazły upragnioną paszę. Nazajutrz przesmykiem należącym do Jumów, wjechaliśmy na sporne obszary. Była to okolica górzysta. Dążyliśmy do obszernej kotliny z małym jeziorem pośrodku. Z zachodem słońca dotarliśmy do jej południowego brzegu.

Wjeżdżając do kotliny razem z Winnetou, spostrzegłem jeźdźca, który wychylił się ze wschodniej rozpadliny, lecz zauważywszy nas, schował się czym prędzej. Rozłożyliśmy się nad brzegiem jeziora. Meltona przywiązano do drzewa. Dla Judyty rozbito w zaroślach namiot.

Tymczasem Winnetou swoim zwyczajem obchodził kotlinę. Kiedy wrócił, poznałem po nim, że dokonał poważnych odkryć.

— Czy mój czerwony brat zauważył coś więcej niż jeźdźca, któregośmy poprzednio spostrzegli?

— Tak — odpowiedział. — Zajrzałem do wschodniej doliny: była pusta. Później do północnej: stamtąd nadciągali właśnie jacyś jeźdźcy, lecz ujrzawszy nasze konie, cofnęli się szybko.

— A więc są to dwa rozmaite oddziały, które wzajemnie o sobie nic nie wiedzą.

— Tak jest. Jeden przybył z północy, drugi ze wschodu. Dążyli do jeziora, a widząc, że zajęte, wycofali się z powrotem.

— Czy mój czerwony brat wie, co to za oddziały?

— Old Shatterhand wie również.

— Można się domyślić. To Wielkie Usta i Silny Bawół, każdy ze swoimi wojownikami. Ale który nadciąga z północy, a który ze wschodu?

— Łatwo się dowiemy, gdy pójdzie my na zwiady. Ja na północ, brat mój na wschód. Jeszcze dziesięć minut i zapadnie noc, więc będziemy mogli pójść.

Wróciliśmy do obozu, aby posilić się, a kiedy się zupełnie ściemniło, poszliśmy, nie zwracając niczyjej uwagi. Winnetou na północ, ja na wschód.

Wiedzieliśmy, że nieznani jeźdźcy wyślą również wywiadowców, aby się dowiedzieć, kto obozuje nad jeziorem. Istotnie, niewiele drogi uszedłem, kiedy dobiegł mnie nieznaczny szmer. Natychmiast przywarłem do ziemi i czekałem na wywiadowcę, który wnet się ukazał. Nie widział mnie, miał wzrok utkwiony przed siebie. Kiedy podszedł do mnie bardzo blisko, podniosłem się i w oka mgnieniu oburącz schwyciłem go za gardło. Był to wyrostek indiański. Opadły mu ręce, a nogi trzęsły się pod nim ze strachu. Powaliłem go, mówiąc ściślej, pozwoliłem mu upaść, odebrałem nóż, który tkwił za pasem, rozluźniłem ucisk, aby złapał tchu, rzekłem:

— Z jakiego jesteś szczepu?

— Mim-bre-nio — wymamrotał, chwytając oddech.

Mógł mnie okłamywać. Zapytałem więc:

— Kto was prowadzi?

— Nalgu Mokaszi.

— Dokąd jedziecie?

— Do Almaden, do Old Shatterhanda i Winnetou.

Puściłem go i rzekłem:

— Mów ciszej. Popatrz mi prosto w twarz. Czy znasz mnie?

— Uff! Old Shatterhand!

— Podnieś się! Zaprowadzisz mnie do Silnego Bawołu. Zwracam ci nóż.

Podniósł się i szedł za mną w milczeniu. Lecz w pobliżu doliny zatrzymał się i odezwał:

— Old Shatterhand jest przyjacielem czerwonych i mistrzem w sztuce wojennej. Niechaj nie myśli, że każdy inny wojownik mógłby mnie podejść. Jeśli Old Shatterhand opowie wodzowi, że dałem się zaskoczyć i rozbroić, wódz odeśle mnie do kobiet, a wówczas utopię nóż we własnym sercu.

— W takim razie przemilczą to. Ale pamiętaj, na przyszłość panuj nad przestrachem i nie ulegaj mu tak łatwo!

Kiedy weszliśmy do doliny, rozległo się cykanie świerszcza. Towarzysz mój odpowiedział tak samo.

Wkrótce zbliżyliśmy się do ogniska. Dookoła siedzieli jacyś ludzie. Jeden z nich podniósł się i rzekł:

— Dwóch przyszło. Kim jest ten drugi?

— Old Shatterhand — odpowiedział Mimbrenio.

— Old Shatterhand! Old Shatterhand! — rozniosło się dokoła lotem błyskawicy.

To pytał Nalgu Mokaszi, wódz Mimbreniów. Podał mi dłoń i rzekł z radosnym zdziwieniem w głosie:

— A więc mój znakomity biały brat do nas przybył? Ulżyło mi na sercu, gdyż lękałem się o niego. Lecz skąd się wziął tutaj? Spodziewaliśmy się, że albo nie żyje, albo przebywa w pobliżu Almaden.

— Nie żyje? Wszyscy, którzy ze mną wyruszyli, czują się świetnie i nie zaznali nic złego. Wojownicy Mimbreniów, a przede wszystkim synowie Silnego Bawołu, trzymali się tak dziarsko, że zasługują na najwyższą pochwałę. Później opowiem o nich, o ich czynach. Przedtem muszę wiedzieć, ilu wojowników przyprowadził Silny Bawół.

— Dwustu paru.

— A co się stało z pochwyconymi Jumami, co się stało z Vete-ya? Czy zginęli z zaciśniętymi zębami, jak przystoi mężczyznom, czy też wydawali okrzyki bólu?

— Wielki Duch nie życzył sobie, abyśmy napawali oczy widokiem śmierci tych psów. Oswobodził jednego z nich i przeciął pęta pozostałym. Uciekli, skradłszy nam wiele koni.

— Czy wiesz, gdzie szukać zbiegów?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że udali się do Almaden. Kiedy uciekli, natychmiast wysłałem za nami wszystkich wojowników, których miałem przy sobie. Sam zaś wróciłem po posiłki i po świeże konie. Teraz przybyłem tutaj, zabiegając im drogę. Tak więc Vete-ya znalazł się w potrzasku, pomiędzy dwoma naszymi oddziałami, które go wkrótce zgniotą.

— Bardzo roztropnie. Mogę oznajmić ci, że Vete-ya znajduje się niedaleko stąd, w północnej dolinie.

— A więc natychmiast musimy tam się udać.

— Nie śpiesz się, wszak muszę ci zrelacjonować przebieg naszej wyprawy.

Opowiedziałem bardzo pobieżnie, w ogólnych tylko zarysach. Otaczali nas wojownicy, przysłuchując się z zapartym tchem. Wódz od czasu do czasu wydawał okrzyki zdumienia,, kiedy zaś skończyłem, zawołał:

— Mniej niż pięćdziesięciu naszych wojowników dokonało tych czynów! Słuchajcie, mniej niż pięćdziesięciu! A między nimi moi obaj malcy!

Nie wyszczególniłem kto czego dokonał, lecz mówiłem ogólnikowo: my. Stąd ta duma wodza, który przypisał wszystkie niezwykle czyny swoim wojownikom,

— A więc Przebiegły Wąż i jego trzystu wojowników obozuje w kotlinie wraz z moimi braćmi? Co za przypadek! Gdybyś z nimi nie zawarł pokoju, mielibyśmy jeszcze przed świtem wszystkie ich skalpy.

— Mam nadzieję, że uszanujesz umowę, którą z nimi zawarłem. Skalpy i tak cię chyba nie miną.

— W jaki sposób?

— Mówiłem wszak, że w pobliżu obozuje Vete-ya. Na pewno się rozsierdzi, kiedy dowie się o umowie Przebiegłego Węża. Przypuszczam, że nie zgodzi się na przyjaźń z nami. Wówczas niechybnie dojdzie do walki orężnej.

— Jak się wobec tego zachowa Przebiegły Wąż?

— Ten sojusznik jest uczciwym człowiekiem i nie zawiedzie naszych nadziei. Mniej pewni są jego ludzie, zwłaszcza tych czterdziestu, których wzięliśmy do niewoli. Trzeba poczekać na rozwój wypadków. Chwilowo muszę naradzić się z Winnetou, który ruszył na zwiady do obozu Vete-ya. Później pchnę do ciebie posłańca z rozkazami. Musisz je starannie wykonać. W każdym razie możemy spokojnie patrzeć w przyszłość, gdyż mamy oczywistą przewagę nad Jumami. Jeśli nawet zgromadzili siły znaczniejsze niż nasze, to my za to mamy więcej broni palnej. Na dodatek w naszych szeregach znajdują się wojownicy, z których każdy jest więcej wart niż dziesięciu, a nawet więcej wrogów. Teraz odchodzę. Bądźcie gotowi!

Kiedy wróciłem do obozu, zastałem już Winnetou, który przebył odległość znacznie większą niż przypuszczałem. Położyliśmy się obok siebie, aby nikt nas nie mógł podsłuchać, i zdawaliśmy sobie relacje z odbytych zwiadów. Okazało się, że Winnetou był nie tylko w obozie Jumów, ale również w obozie Mimbreniów, którzy ścigali Yete-ya. Otóż, kiedy podkraść się pod obóz Jumów, natrafił na wywiadowcę, ten zaś okazał się Mimbreniem i zaprowadził go do swojego obozu, rozbitego w odległości tysiąca kroków od wrogów nic nie podejrzewających. Poleciwszy Mimbreniom spokojnie leżeć i czekać na jego rozkazy, Winnetou wrócił do naszego obozu.

— Musimy teraz zastanowić się — rzekłem. — Jeżeli Vete-ya zgodzi się na pokój, tym lepiej, jeżeli nie, przekonamy go, że nie mamy powodu się lękać.

— Nie zechce pokoju. Zabiłeś jego syna. Może by się zgodził na zawarcie; pokoju z Mimbreniami, ale z tobą — nigdy.

— Tym gorzej dla niego. Okrążymy go, zanim się rozwidni. Uważam, że...

W tej chwili rozległ się głośny okrzyk. Jakiś Indianin wyszedł z zagajnika i z wesołymi okrzykami zbliżał się do Przebiegłego Węża, który spoczywał na brzegu jeziora. Był to wywiadowca Vete-ya, a miał wybadać, kto zajął kotlinę. Na widok swoich braci opuścił kryjówkę i podbiegł do przywódcy. Obydwaj rozmawiali żywo. Po chwili stanęli obok mnie i Winnetou. Wywiadowca obrzucił nas ponurym spojrzeniem. Przebiegły Wąż oświadczył:

— Wojownik Juma melduje mi, że Vete-ya przybył tutaj i chce wiedzieć, kto obozuje nad wodą. Ponieważ jest naczelnym wodzem naszego plemienia, przeto muszę go zaprosić wraz ze wszystkimi wojownikami. Cóż myślą o tym moi bracia?

— Czy powiedziałeś wywiadowcy — zapytał Winnetou — że zawarliśmy pokój?

— Tak.

— Wierzmy, że nie zawiedzie naszego zaufania. Ale nie wiedząc, czy Vete-ya pragnie pokoju czy wojny, musimy być ostrożni, Owszem, niech przyjdzie ze swymi ludźmi. Pozwalam mu zająć połowę brzegu aż do buku, pod którym spoczywałeś. Rozniećcie tam ogień, aby Vete-ya mógł się rozejrzeć dokoła. Howgh!

Przebiegły Wąż udzielił posłańcowi dodatkowych wskazówek, odesłał go, po czym oświadczył:

— Cośkolwiek Vete-ya postanowi, na mnie możecie polegać.

— A twoi wojownicy?

— Większości jestem pewien.. W potrzebie obronimy was przed Wielkimi Ustami.

— Zwołaj swoich ludzi i wypytaj ich dokładnie. Chcemy wiedzieć, czego się po nich spodziewać.

Szczególne była nasza sytuacja. Można sobie wyobrazić jezioro o średnicy dwustu kroków, buk, o którym mówił Winnetou, wznosił się pośrodku jego południowej części. Stąd na zachód połowa jeziora i brzegu miała należeć do Jumów, na wschód do nas. Po naszej stronie od dawna paliło się ognisko. Teraz oświetlono również dalszą część brzegu. Nasi J umowie zaczęli przechodzić na swój teren, my zaś pozostaliśmy na swoim, w położeniu dosyć niebezpiecznym. Nasza garstka, składająca się z niewielu Mimbreniów oraz białych, byle jak uzbrojonych, obarczonych dziećmi i kobietami, miała naprzeciw siebie trzystu czterdziestu wojowników, do których wnet miał przyłączyć się Vete-ya. Lecz dodawała nam otuchy pewność, że w pobliżu nas znajdują się uzbrojeni Mitabreniowie z Nalgu Mokaszi.

Należało zawczasu ukryć konie w bezpiecznym miejscu. Gdy doszliśmy z nimi do ciemnego zakątka za drzewami, rzekł do mnie Apacz:

— Mój brat weźmie ze sobą kilku ludzi i odprowadzi konie do Nalgu Mokaszi. Za kwadrans, a więc zanim nadejdzie Vete-ya, będziecie z powrotem.

Ja tymczasem wyślę gońca do Mimbreniów, którzy rozłożyli się na tyłach Jumów. Niech Silny Bawół puści pod należyty nadzorem konie na łąkę i sikoro tylko Vete-ya tutaj przybędzie, niech się szybko do nas przybliży. Po drodze spotka Mimbreniów, których sprowadzam przez gońca. Nalgu Mokaszi ma gęsto obstawić kotlinę. A niech się zachowuje tak cicho i spokojnie, aby go Jumowie nie spostrzegli. Musimy się jeszcze umówić co do hasła. Zgódźmy się na okrzyk wojenny Siuksów. Skoro go usłyszą, mają w mig ruszyć ku zachodniemu wybrzeżu jeziora i zwalić się na wojowników Vete — — ya. My natomiast wraz ze wszystkimi Jurnami, którzy dochowają nam przymierza, będziemy po stronie wschodniej. Jeśli hasła nie usłyszą, będzie to oznaczało pokój; w takim wypadku niech Mimbreniowie spokojnie czekają do rana na swoich stanowiskach.

Był to najlepszy z planów, jaki można było wymyślić. Zabrałem ze sobą jako eskortę przy wierzchowcach sześciu Mimbreniów, między nimi obu młodych braci. Byli mile zaskoczeni, dowiedziawszy się, że rychło zobaczą ojca. Wkrótce przybyliśmy do Silnego Bawołu. Chciał zatrzymać synów przy sobie, lecz dzielni chłopcy tak długo prosili i nalegali, ipóki nie zezwolił im na powrotną drogę. Odbiliśmy ją pieszo.

Teren obozowania oświetlały płomienie ognisk. Po chwili rozległ się tupot koni i głośne nawoływanie. Schowaliśmy się w gąszczu, aby obserwować wrogów. Winnetou podszedł do nas i oznajmił:

— Vete-ya przybył. Zgodnie z umową zajmuje zachodnią stronę. Wkrótce będziemy go mogli zobaczyć.

Istotnie, na zachodnim brzegu zaroilo się od ludzi. Na terenie naszym nie widać było nikogo, ponieważ ukryliśmy się za drzewami, słabo oświetlonymi błyskami gasnącego ogniska. Natomiast po przeciwnej stronie było tak jasno, że widzieliśmy dokładnie wodza rozmawiającego z Przebiegłym Wężem. Chwilami dobiegał gniewny ton rozmowy, jednakże nie mogliśmy rozpoznać poszczególnych słów. Słyszeliśmy również głos Przebiegłego Węża. Dowodziło to, że broni się z równą mocą i energią, z jaką tamten napiera.

W tym czasie wrócił posłaniec Winnetou. Znalazł Mimbreniów i przyprowadził ich w pobliże. Po drodze spotkali się z oddziałem Silnego Bawołu i rozległym pierścieniem okrążyli jezioro. Teraz mogliśmy ze spokojem oczekiwać dalszych faktów, ponieważ musiały wypaść dla nas pomyslnie.

Obaj wodzowie Jumów usiedli przy ognisku, otoczeni zwartym kołem najstarszych wojowników. Radzono. Mogliśmy cierpliwie czekać. Nam nie było spieszno. Ale Silnemu Bawołowi widocznie czas zanadto się dłużył. Przybiegł bowiem, wbrew mojemu zakazowi, dowiedzieć się o stanie rzeczy.

Narada trwała przeszło dwie godziny, była niezmiernie burzliwa. W końcu podniósł się Przebiegły Wąż i podszedł do naszego obozu:

— Moi bracia — rzekł — mają przyjść do nas, aby się dowiedzieć, co uchwaliliśmy.

— Możesz nam to zakomunikować — odparłem.

— Nie mogę. Vete-ya chce wam to oznajmić osobiście.

— Nie mamy nic przeciwko temu. Owszem, niech przyjdzie.

— Czy moi bracia nie mają zaufania?

— ...

— Mnie możecie w każdym razie ufać.

— Ilu wojowników cię poprze?

— Połowa oddziału. Pozostali popierają Vete-ya.

— Czy sądzisz, że dojdzie do walki?

— Tak, jeśli nie zgodzicie się ni warunki Vete-ya.

— Gotowi jesteśmy ich wysłuchać, ale nie godzimy się nigdzie chodzić, tym bardziej że nie uważamy Vete-ya za człowieka honoru.

— Ale on tu nie przyjdzie.

— Więc niech siedzi na grzędzie, dopóki nie zmądrzeje, na co może czekać wiele zim i wiele wiosen. Powtórz mu to w naszym imieniu.

Takie rozstrzygnięcie nie było po jego myśli. Zastanowił się, szukając pośredniego wyjścia.

— Czy spotkacie się w połowie drogi, jeśli i on pół przejdzie?

— Owszem. Spotkajmy się pod bukiem, ale bez broni. Ja przyjdę z Winnetou, on zaś z tobą. Po dwóch z każdej strony.

Przebiegły Wąż wrócił do swoich i spierał się około pół godziny z Vete-ya. Przybiegł powtórnie, aby nas zawtadomić, że wódz Jumów przez wzgląd na godność swego urzędu musi przyjść w towarzystwie co najmniej sześciu ludzi.

— Dwóch z naszej i dwóch z waszej strony, nie więcej. Powiedz mu m stanowczo! Nie ruszymy się z miejsca póki nie dojdzie do drzewa.

Przebiegły Wąż musiał jeszcze parę razy odbyć wędrowki między naszymi, obozami, zanim się stary nie poddał. Podeszli do wskazanego buku i usiedli. Ponieważ wąpiliśmy, że Juma pozbędzie się noża, przeto wbrew warunkom spotkania każdy z nas zabrał ze sobą rewolwer.

Vete-ya — powitał nas nienawistnym spojrzeniem. Gdy usiadłem przy nim ze wstrętem cofnął róg pledu, którym był okryty, aby się uchronić przed moim dotknięciem. Patrzył ponuro przed siebie, pewien, że my zaczniemy pertraktacje. Chcieliśmy jednak zostawić ten zaszczyt jemu. Od czasu do czasu podnosił głowę i przebijał nas ostrym jak sztylet wzrokiem. Ponieważ nas ani przewiercił, ani skłonił do rozpoczęcia, więc nagle wybuchnął ochryple:

— Moje uszy są otwarte, a więc mówcie!

Nie odpowiedzieliśmy ani ja, ani Winnetou. Po chwili Vete-ya odezwał się z pogrózką:

— Jeśli nie będziecie mówić, każę was wystrzelać!

Wówczas Winnetou wskazał mu nasz teren, do którego Juma siedział tyłem. Vete-ya odwrócił się i zobaczył Mimbreniów, leżących rzędem z wycelowanymi w niego strzelbami.

— Uff, uff! Cóż to takiego? — krzyknął. — Chcecie mnie zabić?

— Nie — odpowiedział Winnetou — lecz strzelby będą w pogotowiu, dopóki nie wrócimy. Więcej nie mam ci nic do powiedzenia.

Nie jest rzeczą miłą mieć za sobą przeszło czterdzieści luf wycelowanych w plecy. Znać też było po Vete-ya, że siedzi jak na szpilkach. Aby skrócić czas tej napiętej sytuacji, zdecydował się rozpocząć pierwszy:

— Winnetou i Old Shatterhand są w moim ręku. Dzień dzisiejszy będzie ich ostatnim.

— A Vete-ya wpadł w nasze sidła. Jeszcze w ciągu tej godziny wyniesie się na tamten świat. Skoro ten dzień ma być naszym ostatnim, to wyślemy tam ciebie przed nami.

— Przeliczcie swoich ludzi i moich! Po czyjej stronie przewaga?

— Winnetou i Old Shatterhand nigdy nie liczą wrogów. Wszystko im jedno, jeden czy dziesięciu. Niech Vete–ya liczy.

— Zmiażdżymy was!

— Czy zmiażdżyliście w Almaden, gdzie było nas czterdziestu przeciw trzystu wojownikom?

— Mnie tam nie było! Zbadam jeszcze tę sprawę. Kto okazał się tchórzem, ten zostanie przepędzony z naszych szeregów.

Ostatnie słowa skierowane były pod adresem Przebiegłego Węża, ten zaś odpowiedział gniewnie;

— Kto jest tchórzem? Gdybyś nie wiązał się ze zdrajcami, nie byłibyśmy narażeni na te zniewagi!

— Milcz! Pomówię z Meltonem i dowiem się, kto w tej sprawie zawinił.

— Nie będziesz z nim mówił. Melton jest moją własnością i nikt bez mego pozwolenia słowa z nim nie zamieni — rzucił z wściekłością Przebiegły Wąż.

— Nawet ja, twój zwierzchnik? — zdziwił się Vete–ya.

— Nawet ty! Nie jesteś moim zwierzchnikiem. Tyś taki sam wódz jak ja, a tylko dlatego żeś starszy, oddano ci przewodnictwo. Ale nikogo nie możesz zmusić do ślepego posłuszeństwa. A obelgę oddam pod rozpatrzenie najstarszych wojowników naszego plemienia. Jeśli zaś jeszcze raz ją powtórzysz, natychmiast cię zakłuję!

Stary udał, że nie słyszy, i zwrócił się do mnie:

— Powtarzam, że wpadliście w moje ręce. Wszyscy, którzy wam towarzyszą, są również zgubieni. Jedna jest tylko droga ocalenia: ty i jeden z synów Nalgu Mokaszi wydacie się w nasze ręce, aby zginąć przy palu.

— Jeśli się zgodzę, co czeka moich towarzyszy?

— Będą mogli iść swoją drogą.

— Czy jeszcze czegoś żądasz?

— Oddadzą wszystko, co mają przy sobie oraz konie, a także konia i srebrną rusznicę Winnetou.

— Słuchaj, mój bracie czerwony, przyznaję, że błędnie cię osądziłem, uważając za durnia, widzą bowiem teraz, że jesteś starym wygą, kutym na cztery nogi. Ale czy nie zechciałbyś spytać nas, jaka jest nasza wola?

— Wy? Cóż wy możecie chcieć?

— Przede wszystkim ciebie, ponieważ z Meltonem zmówiłeś się przeciw moim białym braciom, ponieważ spaliłeś hacjendę de| Arroyo. Zatem chcemy mieć ciebie, twoim ludziom zaś pozwolimy odejść w spokoju.

— Gzy sępy mózg wydlubały ci z czaszki? Jakże możecie stawiać warunki, skoro jesteście w mojej mocy?

— Takie gadanie do niczego nie doprowadzi. Ty myślisz, że nas masz w ręku, my — że mamy ciebie. Kończę naradę.

Z tymi słowy podniosłem się, zamierzając odejść. Vete–ya krzyknął:

— Stój, nie skończyliśmy! Posłuchajcie, daję wam pół godziny do namysłu. Jeżeli po upływie tego czasu nie wydacie nam OM Shatterhanda i Mimbrenia, natrzemy na was i wytępimy co do jednego.

Na słowa te w ogóle nie zareagowaliśmy. Wówczas podniósł się Przebiegły Wąż i oświadczył:

— Jestem Przebiegły Wąż i nigdy nie złamałem danego słowa; dotrzymam także układu, który zawarłem z tymi mężami.

— Jakże go chcesz dotrzymać — rzekł Vete–ya — skoro ja go unieważniam?

— Tego nie możesz uczynić. Ja układ zawarłem i ja jeden mogę uznać jego ważność czy nieważność.

Vete–ya skoczył i tupiąc nogą, zawołał:

— Ja go ogłaszam za nieważny! Kto się ośmieli powstać przeciwko Vete–ya?

— Ja się ośmielę, ja, Przebiegły Wąż. Moi wojownicy wypalili z białymi przyjaciółmi kalumet, kalumet z, gliny, którą, narażając się na niebezpieczeństwa i zachowując obrzędy, wydobyłem ze świętego miejsca. Każde pociągnięcie z kalumetu jest przysięgą, której nie wolno łamać. Kto ją naruszy, nigdy nie wejdzie do wiecznych ostępów, tylko jako cień będzie się błąkał dookoła ich bram.

— Nazywasz tych obcych przyjaciółmi? A może bierzesz ich w obronę?

— Tak. Będę ich bronił do ostatniej kropli krwi.

— Będziesz więc walczył ze mną i z moimi wojownikami, którzy są twoimi braćmi?

— Kto mnie zmusza do złamania przysięgi, ten przestał być moim bratem, ten obraża mnie i kła wszystkim mężów mego plemienia. Słuchajcie wojownicy, których jestem wodzem, Vete–ya nazwał nas tchórzami! Czy ścierpicie tę obrazę? Żąda od nas, abyśmy złamali kalumet, który jest najcenniejszym naszym skarbem. Żąda, abyśmy znieważyli nasze leki krzywoprzysięstwem. Czy chcecie się na to zgodzić?

Krzyczał tak głośno, że słyhać go było bardzo daleko. Odpowiedziało mu milczenie. Nie przytaknięto mu ani nie zaprzeczono. Wówczas dodał:

— Tu stoi Winnetou, tu stoi Old Shatterhand, Czy słyszeliście, aby który z nich złamał kiedyś słowo? Czy mają o nas mówić, że jesteśmy kłamcami? Old Shatterhand wydobył mnie z szybu, w którym miałem zginąć, Uczynił to, mimo że byłem jego wrogiem. Czy mam zdradzić go, gdy jestem jego przyjacielem? Czy wasz wódz powinien być kłamcą, czy uczciwym człowiekiem, którego słowu można zawierzyć? Rozstrzygniecie sami. Teraz pójdę z Winnetou i z jego białym przyjacielem. Za mną — w kim serce i rozum! Lecz kto kochał się w kłamstwie, kto znosi, gdy go tchórzem nazywają, ten może zostać przy Vete–ya. Ja powiedziałem, a wy czyńcie, jak uważacie. Skoro Vete–ya szuka zemsty na Old Shatterhandzie, niech się z nim rozprawi w uczciwej walce, jeśli jest mężny. Powiedziałem swoje, a wy słyszeliście. Howgh!

Wziął nas pod ręce i wróciliśmy do siebie. Mowa jego wywarła wrażenie wprost oszałamiające, owocniejsze, niż się mogłem spodziewać, albowiem wszyscy jego ludzie poszli za nami. Nie sędzę, aby któregokolwiek zabrakło. Jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo „tchórz” zaszkodziło staremu wodzowi.

Vete–ya stał jak skamieniały. Wreszcie wrócił do swego ogniska. Po chwili zawrzało tam jak w ulu. Widzieliśmy, że wojownicy starali się nakłonić go do czegoś. Trwało to przeszło dwie godziny, po czym jeden ze starszych wojowników podszedł do buku, zatrzymał się i zawołał głośno:

— Słuchajcie, wojownicy Jumów i Mimbreniów! Tu stoi Długa Noga, który wiele lat i zim stapał przez życie i który dobrze wie, jak się odważny wojownik powinien zachować w każdym wypadku. Vete–ya, słynny wódz Jumów, stracił swego syna od kuli Old Shatterhanda. Ta krew musi być pomszczona. Old Shatterhand przestrzelił Vete–ya rękę. I to musi być odkupione. Słuchajcie jeszcze, wojownicy! Przy Old Shatterhandzie znajduje się chłopak Mimbrenio, zwany Yuma Shetar. To imię jest obrazą dla całego naszego plemienia i tylko śmiercią może być zmasane. Musimy więc zabić Old Shatterhanda i chłystka, gdziekolwiek ich spotkamy. Lecz wypalili oni fajkę pokoju z wojownikami Przebiegłego Węża i stali się ich braćmi. Wskutek tego nie powinniśmy ich zabijać, a zatem zbrodnie ich pomścić, należy w pojedynku. My jesteśmy obrażeni, my więc wybierzemy rodzaj broni i sposób walki. Ponieważ Vete–ya rękę ma zranioną i walczyć nie może, więc musi go ktoś zastąpić. W zamian pozwolimy, aby Yuma Shetara mógł zastąpić jego młodszy brat. Jeśli kto pragnie walczyć za Vete–ya, niech się do nas zgłosi.

Skończywszy przemowę, cofnął się szybko. Posłałem natychmiast po Silnego Bawołu. Nie chcąc jednak, aby ktokolwiek z Jumów go widział, kazałem sprowadzić wodza do mrocznego

zakątką, gdzie nikt nie mógłby go poznać. Szybko przybył, a dowiedziawszy się o warunkach Vete-ya, odpowiedział spokojnie:

— A więc to był ten głos, który aż do nas dotarł?

— Kazałem ci przyjść, aby się dowiedzieć, czy syn twój ma przyjąć wyzwanie.

— Ależ naturalnie! Czy powinien Mimbrenio powiedzieć o sobie, że się uląkł Jurny?

— Twoi synowie są jeszcze młodzi. Dostaną krzepkiego i doświadczonego przeciwnika.

— Tym gorzej dla Jumów. Będziemy mogli o nich mówić, że ich dorośli wojownicy nie dorównują naszym chłopcom.

— Jesteś więc pewny zwycięstwa?

— Żaden Jurna nie pokona mego syna!

— Który ma walczyć, Yuma Shetar czy jego brat?

— Jego brat, aby mógł sobie zdobyć imię.

— Pozostań tutaj w ukryciu. Nikt nie powinien cię poznać.

Wróciłem do obozu. Chłopcy nie zdradzali najmniejszego śladu ciekawości.

— Rozmawiałem z waszym ojcem — rzekłem — Co zamierzacie?

— Walczyć — odpowiedział młodszy. — Pragnę zdobyć imię. Mój brat odstąpił mi prawo walki.

Cisza panowała w naszym obozie. Koło godziny pierwszej wrócił do buku Długa Noga i oznajmił:

— Na radzie starszych postanowiono co następuje: pierwszy walczy Old Shatterhand, później dopiero Mimbrenio. Old Shatterhand będzie się bił na oszczepy. Przeciwnik nie jest jeszcze wyznaczony, przeto sposób walki omówimy później. Zapasy z Mimbreniem odbędą się w wodzie na noże. Jego przeciwnikiem będzie Czarny Bóbr. Walka trwa do ostatniego tchu i tylko zwycięzca ma prawo wyjść z wody. Skończyłem.

Podziwiałem chytrą Jumów. Imię Czarny Bóbr wskazywało, że ten, kto je nosi, czuje się w wodzie jak w swoim żywiole. Ja zaś miałem walczyć na oszczepy, a więc według zdania czerwonych, na broń mi nie znaną. Ale byli w błędzie. Winnetou, niezrównany mistrz we władaniu oszczepem, nauczył mnie tej trudnej sztuki.

Byłem jednak niespokojny o malca, który z całą naiwnością uśmiechał się do mnie, nie odczuwając żadnej trwogi.

— Czy mój młody brat — zapytałem — jest dobrym pływakiem?

— Zawsze najchętniej przebywałem w wodzie.

— Pluskać się w wodzie, a walczyć w niej na noże — to nie to samo.

— Nieraz walczyłem tak z bratem.

— Nie bądź zbyt pewny siebie. Czarny Bóbr ma groźne imię. Posiada z pewnością wielką wprawę w tego rodzaju walce. Jednakże przebiegłość nieraz bardziej się przydaje niż biegłość. Twój przeciwnik jest na pewno od ciebie mocniejszy, musisz tę przewagę wyrównać podstępem. (Przede wszystkim w żadnym razie nie daj się przez niego schwytać, bo niechybnie zginiesz. Czy znasz roślinę, którą wy nazywacie „sika”?)

— Tak, rośnie w wielkich ilościach u brzegu i między krzewami.

— Łodyga jej jest wewnątrz pusta i tworzy doskonałą rurę. Zwróć na to uwagę.

Spojrzał na mnie zdziwiony; nie zrozumiał.

— Doskonała rura do oddychania.; Byłem ongiś ścigany przez Komanczów. Schroniłem się w rzece. Pogrążony po głowę, stałem długie godziny, oddychając tylko przez taką rurkę. Ale pamiętaj, kaszleć nie wolno. Tkwiąc w wodzie koło brzegu i oddychając przez łodygę, możesz z całym spokojem oczekiwać wroga. Wszak uczono cię, abyś miał oczy otwarte w wodzie?

— O tak! Gdy woda jest jasna, widać wszystko w promieniu wielu kroków.

— To wystarczy.

Po chwili Mimbrenio oddalał się. Widziałem, jak odciął kilka łodyg wspomnianej rośliny i zniknął z bratem w krzakach. Idąc za nimi, stwierdziłem; że Yuma Shetar wcierał mu w ciało oliwę czy jakiś inny tłuszcz.

Upłynęło sporo czasu, zanim Długa Noga podszedł po raz trzeci do buku i oznajmił:

— Słuchajcie, wojownicy, co postanowiono na radzie starszych! Krew, którą Old Shatterhand przelał, jest krwią syna wodza, więc wymaga podwójnego okupu. Przeto Old Shatterhand powinien walczyć nie z jednym, i lecz z dwoma naraz. Każdy otrzyma pięć oszczepów, odległość między walczącymi — trzydzieści kroków. Oszczepy mają być rzucane. Nikomu nie wolno opuszczać stanowiska, modna tylko zrobić jeden krok w tył, w przód lub w lewo. Tarczy nie wolno używać. Kto pozbędzie się wszystkich oszczepów, musi stać na miejscu, dopóki przeciwnik nie wyrzuci swoich. Rana nie kładzie kresu walce, jedynie śmierć może i ją zakończyć. Old Shatterhand będzie walczył z Długimi Włosami i Mocnym Ramieniem. Niechaj przyjdzie po swoje oszczepy!

Nie uniosłem się nawet nad trawę, w której leżałem. Jumowie zachowywali się tak, jak gdyby do nich należało dyktowanie warunków, a nam pozostawało potulnie ich słuchać. Obaj moi przeciwnicy stali już z bronią w ręku. Wykonali wyzywający ruch i zawyli przeraźliwie. Kiedy i to nie poskutkowało, Podszedł Długa Noga do brzegu i zawołał:

— Dlaczego Old Shatterhand nie nadchodzi? Czy z lęku zeszytniały mu nogi? Tutaj stoją mężczyźni wojownicy, którzy go oczekują.

Leżałem z niewzruszonym spokojem. Przeczekał dziesięć minut i znowu krzyknął:

— Jest tak, jak rzekłem. Old Shatterhand nie ma odwagi. Wlazł w trawę i ukrył się za krzewami. Hańba! Czyż nie wie, co przystoi wojownikowi?

Wówczas wystąpił Winnetou i zawołał:

— Jaka to żaba wylazła z wody, aby nam skrzeczeć nad uchem? Old Shatterhand jest najodważniejszym wojownikiem sawanny! Kito śmie wątpić o jego męstwie? Imię jego znane w całej prerii, we wszystkich górach i dolinach. Kto jednak słyszał kiedyś o jakiejś Długiej Nodze? Cóż to za człowiek i czego dokonał? Czy może mi kto powiedzieć? Jakże śmie ten osobnik zawezwać do siebie Old Shatterhanda? Jak śmie nam narzucać przeciwników i sposób walki? Czy ktoś z was odważył się wystąpić w pojedynku przeciw Old Shatterhandowi? Żaden. Zęby wam szczękały ze, Strachu. Postanowiliście tedy we dwóch stawić mu czoło i wybraliście broń, którą zapewne nie włada. Bo któż widział Old Shatterhanda z oszczepem? Wstyd i hańba wam! Wy, którzy nie wstydzicie się walczyć z chłopcem, nie mającym jeszcze imienia, jesteście warci, aby wam stare kobiety napłuły w twarz, aby was wypędzono z obozu! Nie wiecie nawet jak ma się odbywać pojedynki i co mu powinno towarzyszyć. Czy jesteśmy chorymi bizonami, abyśmy pozwolili się pożerać przez stado kojotów? Pragniecie zemsty, chcecie walki — dobrze, ale musi to być walka uczciwa. Dwóch wodzów będzie nad nią czuwać: ja i Vete-ya. Chcę obejrzeć oszczepy i zbadać, czy aby jeden nie jest mocny i giętki, a drugi spróchniały i kruchy. I nie na waszym terenie będzie się odbywała walka, lecz na pograniczu, koło buku. Wielkie Usta i ja odliczymy trzydzieści kroków. Będziemy sekundowali i jeśli kto wykroczy przeciw tym zarządzeniom, położę go trupem na miejscu. Tak ma być. Wódz niech mi odpowie, czy się godzi czy nie; wódz, a nie kto inny, bo kto podnosi głos wobec Winnetou, musi być mężem. Powiedziałem, ja, wódz Apaczów. Teraz niech się odezwie Vete-ya, jeśli ze strachu głos mu nie uwiązał w gardle. Howgh.

Po dłuższym milczeniu odpowiedział Vefte-ya:

— Przyjmujemy warunki Winnetou. Niech podejdzie do buku, tam się z nim spotkam.

Winnetou podszedł do buka; Przyniesiono dwadzieścia oszczepów. Apacz zbadał je dokładnie i odrzuciwszy słabsze, wybrał piętnaście. Odmierzono dystans. Długie Włosy i Mocne Ramię stanęli na wyznaczonych posterunkach w odległości trzech kroków od siebie. Vete-ya usadowił się przy nich z rewolwerem w ręku, aby mnie zabić przy najmniejszym

wykroczeniu. Wreszcie wezwano mnie na stanowisko. Nie opodal Winnetou trzymał w pogotowiu srebrną rusznicę. To, co ci ludzie nazwali walką, mogło się rozpocząć.

— Czy chciałbyś, abym dał im nauczkę? — zapytałem Winnetou na stronie.

— Tak, zasługują na to, łajdacy. Znasz mój rzut podwójny. Jeden dla zamydlenia oczu, a zaraz za nim drugi. Celny.

Podniosłem z ziemi pięć oszczepów. Leciutkie były i cienkie. Winnetou dał znak do rozpoczęcia. Odwróciłem się nieco i udawałem, że patrzę na jezioro, aczkolwiek nie spuszczałem z oka przeciwników. Za nimi płonęło ognisko, za mną było ciemno. Ja przeto mogłem widzieć ich oszczepy o wiele lepiej niż oni moje.

Upłynęło pięć minut, a nikt z nas się nie poruszył. Moi przeciwnicy poczynali się niecierpliwić. Ja spokojnie czekałem, pomny przestrogi, że kto utraci wszystkie oszczepy, musi stać na miejscu, dopóki przeciwnik nie wyrzuci swoich. Chciałem, aby to oni najpierw wyzbyli się oszczepów i drżeli ze strachu przed moim ostatnim rzutem.

Znowu upłynęło pięć minut. Wreszcie zniecierpliwiony Długie Włosy odstał w tył i cisnął. Odsunąłem się o krok; oszczep przemknął koło mnie ze świstem. Następnie rzucił; Mocne Ramię raz i drugi, i znów Długie Włosy raz. Ale bez skutku. Pozostały im po trzy oszczepy. Zaczęli się wzajemnie obsypywać wyrzutami, wobec czego rzekłem:

— Wojownicy Jumów są dziećmi, które nie mają doświadczenia i nie potrafią myśleć. Celują znośnie, ale to jeszcze nie wystarczy, aby we mnie ugodzić.

— Dostanie się tobie i to natychmiast. Chwytaj! — to mówiąc, Mocne Ramię wypuścił oszczep. Złość wzmogła jego siłę, ale pozbawiła go celności. Oszczep przeszył powietrze ze świstem. Ten sam skutek odniósł porywczy rzut Długich Włosów.

— Powiedziałem wam już, że jesteście dziećmi, które wpadają w gniew i nie panują nad czynem. Powiem wam, co należy robić: dlaczego rzucacie pojedynczo? Wszak łatwiej mi uniknąć jednego oszczepu, aniżeli dwóch naraz.

— Uff! — krzyknął Długie Włosy.

— Uff! — zawtórował Mocne Ramię.

Spoglądali po sobie ze zdumieniem. Myśl tak prosta, tak jasna, nie wpadła im do głowy. Wprawdzie nie powinienem był jej podsunąć, ale umiałem dać sobie radę z dwoma oszczepami rzuconymi jednocześnie: przed jednym należy się usunąć, a drugi — odparować. Oczywiście, gdybym miał przeciwników sprawnych i doświadczonych, którzy celowałiby w jeden punkt, w głowę lub pierś, i rzucili nie naraz, lecz z drobnym odstępem czasu, wówczas nie uszedłbym z życiem. ; »

Lecz moi oszczepnicy nie obrali sobie i nawet wspólnego celu. Odstąpiłem o krok przed jedną dzidą i odparowałem: drugą. Rozwścieczeni powtórzyli manewr — z tym samym skutkiem. Wyrzucili ostatnie oszczepy i stali bezbronni, podczas gdy ja zachowałem je wszystkie.

Winnetou podszedł do nich, aby ich zmusić w razie potrzeby do wytrwania na miejscu.

— Teraz wojownicy Jumów — rzekłem — dowiedzą się, czy władam tą bronią. Postąpiliście względem mnie nieuczciwie, ale nic wam to nie pomogło. Nawet mój brat Winnetou nie dostrzegł waszej nieuczciwości, aczkolwiek rzucała się po prostu w oczy.

— Nieuczciwość? — zapytał Apacz. — Jaka? Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Oblicz. Oni mieli dziesięć oszczepów przeciw mnie. Ja mam po dwa i pół przeciw każdemu z nich. Rzecz jasna, że byli uprzywilejowani. Czy to słuszne?

— Nie. Ale nikt o tym nie pomyślał.

— Ja o tym pomyślałem, ale nawet nie wspomniałem, wiedząc, że i z tym sobie poradzę. Zaczynam!

Mierzyłem w drzewo, które wznosiło się z lewej strony za moimi przeciwnikami. Obrąłem sobie za cel grzybek, rosnący pod pierwszą gałęzią, i trafiłem. Jumowie roześmiali się wesoło, oszczep bowiem przemknął co najmniej .w odległości czterech kroków od nich.

— Z czego śmieją się Jumowie? — krzyknął Winnetou. — Czyż nie widzą, że to był tylko rzut próbny? Old Shatterhand ma jeszcze cztery oszczepy. Dwa ugodzą Długie Włosy i Mocne Ramię w lewe biodra.

Tymi słowy Winnetou wskazał mi cel. Postanowiłem wykorzystać manewr, którego mnie nauczył. Rzuca się jeden oszczep dla odwrócenia uwagi, a wnet potem drugi, który przy pewnym doświadczeniu nigdy nie chybi.

— A więc w lewe biodro — zawołałem. — Zacznę od Mocnego Ramienia. Niech uważa!

Wymieniony Juma utkwiał wzrok w moją prawą rękę. Mierzyłem nią w jego prawy bok. Miarkowałem słusznie, że wskutek tego odwróci się do mnie lewym. W ślad za pierwszym oszczepem chybionym wysłałem drugi, który trafił w upatrzone biodro. Jurna krzyknął przeraźliwie i runął na ziemię.

— Teraz kolej na Długie Włosy — zapowiedziałem i w oka mgnieniu rozciągnąłem go na ziemi obok towarzysza. Po czym zawróciłem do obozu.

— Oto jest rzut Old Shatterhanda — słyszałem za sobą głos Winnetou. — Znaie go już dobrze. Teraz będzie walczył Czarny Bóbr z Mimbreniem, który jeszcze nie ma imienia.

Przeciwnik Mimbrenia był silnym, barczystym mężczyzną. Zrzucił z siebie pled, który okrywał jego nagie; atletycznie zbudowane ciało. Winnetou tymczasem rozmówił się z Vete-ya, a następnie zawołał:

— Niech Mimbrenio wejdzie do wody ze swojego, a Czarny Bóbr ze swojego brzegu. W wodzie mogą robić, co im się żywnie podoba. Ale tylko zwycięzca może wyjść na ląd. Zwycięzony musi zginąć i oddać swój skalp przeciwnikowi. Howgh.

Mimbrenio wyszedł nago na brzeg. Trzymał nóż w ręce. Na biodrach wiła się cieniutka nitka, do której z tyłu były przywiązane łądygi siki, widoczne dla nas, lecz nie dla Juma. Ciało jego świeciło namaszczone oliwą. Spozrzegłem w mroku wbite w niego płonące oczy, oczy ojca, który na widok Czarnego Bobra zatrwożył się w głębi serca.

Winnetou kłaśnięciem dał znak do rozpoczęcia walki, po czym obaj przeciwnicy zanurzyli się w jeziorze. Czarny Bóbr skoczył z rozmachem, że aż się woda zapieniła, potężnymi ruchami rąk i nóg pruł fale, płynąc ku chłopcu. Mimbrenio zaś wszedł do jeziora powoli, ostrożnie i poruszał się jak gdyby z namysłem. Widziałem jak zerwał z nitki przygotowane łądygi rośliny, po czym posługując się tylko nogami i jedną ręką, podpływał ku Czarnemu Bobrowi, zbliżającemu się z dużą szybkością.

Kiedy odległość między nimi zmałała, Mimbrenio a za nim Juma zniknęli pod powierzchnią wody. Po chwili chłopak wynurzył głowę i obejrzał się dookoła, Wnet potem wychylił się Czarny Bóbr. Stali obok siebie, lecz nie widzieli się wzajemnie. Wówczas jakiś Juma z wybrzeża, wyciągając przed siebie ręce, zawołał:

— Odwróć się, odwróć się, Czarny; Bobrze! Chłopak jest tuż za tobą!

Ledwie zdołał wykrzyknąć ostatnie słowa, padł rażony kulą Winnetou.

— To samo spotka każdego, kto się wtrąci do walki i — zagrzmiał głos Winnetou, zagłuszając wściekle wycie Jumów.

Po chwili uciszyli się i z napięciem śledzili walkę. Gwarny Bóbr odwrócił się i zobaczył chłopca. Trzymając nóż w ustach, wpadł na Mimbrenia i chwycił go oburącz. Lecz malec wyslizgnął się zręcznie i zniknął pod rękami swego wroga. W następnej chwili usłyszeliśmy krzyk Czarnego Bobra i zobaczyliśmy, jak zaczął się szybko oddalać. Jął płynąć na plecach, poruszając nogami i jedną ręką, drugą zaś badał krwawiącą ranę. Mimbrenio zadał mu ją nożem w brzuch, przy czym, jak się później okazało. Jurna z przażenia wypuścił z zębów swój nóż.

Wnet potem krzyknął po raz wtóry, otrzymał bowiem drugą ranę w plecy. Odpłynął jak najdalej i zniknął pod powierzchnią. Tylko od czasu do czasu wynurzał się, aby nabrać powietrza. Szukał chłopca, który zniknął jak kamień w wodzie.

Minęło pół godziny. Rozwidniło się. Mimbrenio ciągle był niewidoczny, a Czarny Bóbr wciąż go szukał. Wreszcie Juma zbliżył się do brzegu i pływał powoli, badając każde miejsce

wzrokiem i rękoma. Naraz coś jak gdyby zatrzymało jego uwagę. Przyglądał się podejrzliwie, podpłynął bliżej i nagle głowa jego, a potem ręce i nogi zapadły się w głąb. Nad nim bulgotała woda i utworzył się wir. Pod powierzchnią jeziora odbywała się okrutna walka na śmierć i życie. Lecz komu śmierć, a komu życie?

W końcu wynurzył się z wody Mimbrenio. Płynął ruszając nogami i jedną ręką, drugą włókł w wodzie. Pokrótce zniknął nam z oczu za krzewami. Odwróciłem się do swoich i zawołałem przyciszonym głosem:

— Zabił Czarnego Bobra i zamierza go oskalpować. W tym celu wyciągnął go z wody. Trzymajcie broń w pogotowiu, gdyż obawiam się, że Jumowie nie potrafią opanować wybuchu wściekłości.

Istotnie, po chwili ukazał się Mimbrenio, przyplłynął do nas i wyszedł na ląd.

— Stój! — krzyczał Vete-ya. — Tylko zwycięzca może wyjść z wody, zwyciężony musi w niej zginąć!

Mimbrenio w odpowiedzi wskazał nóż w prawej, skalp w lewej ręce i odparł:

— Niech zatem Vete-ya obejrzy Czarnego Bobra, który leży w zagajniku, i niech się przekona, czy żyje jeszcze. Oto jest jego skalp.

Mimbreniowie wieszowali mu okrzykami. Nie odniósł najmniejszej rany, najmniejszego zadraśnięcia. Jumowie pienili się z wściekłości. Krzyząc gniewnie pobiegli do obozu po broń.

Pomknąłem czym prędzej do Vete-ya, który stał jeszcze pod bukiem w towarzystwie Apacza.

— Twoi wojownicy — rzekłem — biegną po broń. Zatrzymaj ich, póki czas.

— Ani myślę — odpowiedział, sięgając po rewolwer.

— Niech tylko jeden strzał padnie, a wszyscy jesteście zgubieni!

— Zobaczymy! Mamy nie mniej od was wojowników.

— Mylisz się. Chodź ze mną, a zobaczysz.

Chwyciłem go za rękę i wyprowadziłem na otwartą przestrzeń. Przy świetle dziennym widać było dokładnie Mimbreniów okrążających nas pierścieniem.

— Co to za ludzie? — zapytał struchlały z przerażenia.

— To Nalgu Mokaszi i setki jego wojowników. Jesteście okrążeni. — Widzisz więc, że walka musi się skończyć waszą klęską.

Chwycił się z rozpaczą za głowę i zapytał:

— Ofiarujesz nam przebaczenie czy męczeński pal?

— Przebaczenie.

— Ufam tobie. Spieszmy się! Prędzej!

Przybyliśmy akurat we właściwym czasie, Jumowie bowiem szykowali się do natarcia i czekali tylko na wodza. Podbiegł do nich wyjaśnić sytuację, ja natomiast odesłałem Silnego Bawołu do jego oddziału, aby przygotował go na wszelki wypadek do walki.

Vete-ya musiał użyć całej swojej władzy i sprytu, aby powstrzymać zapędy wojowników. Ulegli nie tyle zresztą jego krasomówstwu, ile raczej wymownemu widokowi Mimbreniów, którzy ich okrążali zwartym murem.

Nalgu Mokaszi podszedł do mnie i zapytał, wskazując na Jumów:

— Jak sądzisz, czy będą się bronić?

— Nie. Rozmawiałem z ich wodzem.

— Więc się poddadzą?

— Tak myślę.

— A zatem zginą przy palu.

— Nie przypuszczam. Jeżeli ofiarujesz im pal, nie poddadzą się, lecz będą walczyć aż do ostatniego tchu.

— No, to i cóż z tego?

— To będzie nas kosztowało bardzo wiele krwi.

— Nie mów wciąż o krwi. Powystrzelamy ich wszystkich.
— Ale zginie przy tym także wielu twoich wojowników.
— Wątpię. Walka nie potrwa długo. Oni stanowią znikomą garstkę wobec naszej gromady: ja z Mimbreniami, Winnetou, ty i twoi biali, Przebiegły Wąż wraz z Jumami, którzy są za wami.

— Są za nami, lecz będą przeciwko tobie.

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że przyrzekłem Vete-ya i jego ludziom przebaczenie.

— Przebaczenie? Jakim prawem przyrzekłeś? Czy, byli w twoim ręku czy w moim?

— Z początku w moim. A może chcesz ich poprowadzić do męczeńskiego pala, aby po drodze pozwolić im umknąć? Otwórz oczy, rozejrzyj się w sytuacji. Ja i Winnetou nie będziemy maczać palców w upragnionym przez ciebie pogromie. Nie sądzisz chyba, aby Przebiegły Wąż i jego Jumowie przyglądali się obojętnie mordowaniu ich braci w imię twego okrucieństwa. Pokój natomiast byłby błogosławieństwem, zarówno dla nas, jak i dla nich. W dodatku dostanie ci się wielki łup.

— Łup? A więc nie przyrzekłeś, że mienie ich nie poniesie żadnego uszczerbku? To mnie bardzo dziwi!

— Ofiarowałem im przebaczenie, a zatem tylko życie. Co się tyczy łupu, to radzę ci go nawet zażądać. Odbierz im broń i konie, to ich osłabi na dłuższy czas. Nie można przepuścić bezkarnie ostatnich zbrodni Vete-ya.

— Zgadzam się. Pomów jeszcze w tej sprawie z Przebiegłym Wężem.

Wiedziałem, iż Przebiegły Wąż nie będzie się temu sprzeciwiał. Już dawno spostrzegłem, że młody, ambitny Indianin był zazdrosny o władzę Vete-ya i marzył o jej zagarnięciu. Nie zdziwiłbym się, gdyby pragnął osłabienia i wodza i jego zwolenników. Istotnie, kiedy go zapytałem o zdanie, odparł:

— Możecie z nimi zrobić wszystko, co się wam podoba. Tylko nie zabijajcie ich i nie bierzcie do niewoli. Musiałbym się temu przeciwstawić, ponieważ są moimi braćmi.

— Wiesz, co zrobił Vete-ya, i przyznasz chyba, że zasłużył na karę.

— To mnie nie obchodzi. Zabierzcie wszystko i pozwólcie im odejść.

Zakomunikowałem treść rozmowy Silnemu Bawołowi, który poprosił mnie, abym osobiście poszedł do Vete-ya z układem kapitulacji. Zgodziłem się, ponieważ ciekaw byłem, jak przyjmie cios z mej ręki ten starzec, który niedawno jeszcze przeznaczył mnie na pal męczeński.

Znalazłem się wśród gromady uzbrojonych Jumów, obrzucających mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, które świadczyło, że misja moja nie była zbyt bezpieczna.

— Chcesz mi oznajmić wasze postanowienia? — zapytał Vete-ya.

— Przede wszystkim chcę ci powiedzieć, że stanąłem w twojej obronie, aczkolwiek na to nie zasługujesz. Jesteś zupełnie osamotniony; Przebiegły Wąż nie chce o tobie słyszeć, ponieważ nazwałś go tchórzem. Nalgu Mokaszi nalegał na ukaranie was śmiercią męczeńską. Kiedy mu wyperswadowałem tę myśl, zażądał, aby przynajmniej mógł was uprowadzić w niewolę. Odwiodłem go od tego zamiaru, lecz dalszych ustępstw nie możecie się spodziewać.

— Będziecie jednak wolni?

— Tak. Będziecie mogli odejść, dokąd zechcecie.

— A zatem odjedziemy stąd czym prędzej.

— Odjedziecie? Wasze konie należą do zwycięzców.

— Czyż nie zagarnęli już, dosyć? — mruknął w odpowiedzi.

— Czego?

— Odebrałeś stada hacjendera, lecz udało się nam odzyskać je z powrotem. Jednakże śpiesząc do Almaden, zostawiliśmy je pod strażą na miejscu. Ponieważ Mimbreniowie podążali za nami, więc rzecz jasna, zagarnęli stada.

— Nie mówiłem jeszcze o tym i Nalgu Mokaszi. Jeśli istotnie tak się stało, wówczas zwrócę hacjenderowi jego własność. Pomyśl sam, jakbyś postąpił na miejscu Silnego Bawołu? Na pewno nie darowałbyś nam życia. Dlaczego żądasz od wodza Mimbreniów większej ofiarności? Bądźże rozumny. Jeżeli będziecie się ociągać, Nalgu Mokaszi może cofnąć przyrzeczenie, a wówczas biada wam. Jeszcze jedno, cały ten teren, na którym obozujemy, jest przedmiotem sporu między wami a wojownikami Mimbreniów. Silny Bawół może go zażądać. Nie doprowadzajcie do tych ostateczności, tylko ponieście tę małą ofiarę, która zapobiegnie większym.

Przemawiałem do nich łagodnie, ponieważ chciałem zwrócić gniew wojowników przeciw Vete-ya i tym samym wzmocnić pozycję Przebiegłego Węża. Istotnie, mowa moja wywarła głębokie wrażenie na Indianach nie przywykłych do takiego traktowania. W krótkim czasie zdołałem ich nakłonić, aby bez sprzeciwu oddali Mimbreniom broń i konie. Na Silnym Bawole wymogłem, aby pozwolił im zachować wszystko, co mieli w torbach. Wkrótce zaczęli się przygotowywać do drogi, przy czym wielu spośród ludzi Vete-ya przystało do Przebiegłego Węża. Tym wojownikom zwróciłem broń i konie, co ich wprawiło w nieopisaną radość.

Vete-ya nie mógł ukryć wściekłości. Stanowisko jego było poważnie zagrożone. Postanowił więc, odchodząc, wygłosić sarkastyczną mowę pożegnalną, sześciu czy siedmiu najwybitniejszych Przybliżył się do nas w towarzystwie wojowników, aby mogli się przekonać o jego mocy duchowej.

Naradzaliśmy się właśnie nad dalszą marszrutą. Widząc Vete-ya, wskazałem wodzowi miejsce obok siebie. Vete-ya ruchem ręki odmówił, przybrał postawę mówcy i rzekł wyniośle:

— Szczęście wojowników jest jak kobieta, która się dziś śmieje, jutro płacze, a pojutrze mów się śmieje. Kobieta była zawsze uległa wobec Vete-ya, dopóki miał do czynienia z wrogami, synami naszego kraju, których znał, o których wiedział, jaką baronią władają, jak walczą i jak można ich pokonać. Słyszał jako wielki wojownik. Moja sława rosła z dnia na dzień, czerwoni i biali wrogowie lękali się mnie, a moi przyjaciele c tiuli się pewnie pod moją tarczą. Lecz oto przybyli obcy mężowie, którzy nie pochodzą z tego kraju. Nie mają żadnego prawa wtrącać się do naszych spraw — uczynili to Old Shatterhand i Winnetou. Należało tych przybłędów natychmiast zabić albo co najmniej wypędzić. Lecz oni posługują się bronią zupełnie nam nie znaną. Kto podola srebrnej rusznicy Winnetou i niedźwiedziówce Old Shatterhanda, który na domiar posiada zaczarowaną broń, strzelającą bez uprzedniego nabicia? Co znaczą w porównaniu z tym nasze strzały i dzicy, nasze noże i nasze nieliczne flinty?! Walczą ci ludzie w sposób nam nie znany, używają podstępów i forteli, zjawiają się w miejscach, gdzie się ich najmniej można spodziewać. Weszli w przymierze ze złymi duchami, które są wrogami czerwonych, albowiem czerwoni to mężowie uczciwi i dobrego serca. I oto od czasu, jak te przybłedy do nas zawitały, wszystkie moje plany obracają się w niwecz. Pokonały mnie : zmuszają do odwrotu pieszo, bez koni, bez oręża. Lecz Winnetou i Old Shatterhand wyruszą stąd, a wówczas szczęście znowu się do mnie uśmiechnie. Zwycięzcy dnia dzisiejszego Jutro będą zwyciężonymi; będą wyć pod naszymi pięściami jak psy, które wyczuły bliską śmierć. Albowiem ja to powiadam, ja, naczelny wódz Jumów. Nie zapomnę o tym, co się teraz, stało, zniszcz; zdepcę tych, którzy dziś nade mną triumfują. A wówczas nie będzie dla nich przebaczenia ani litości, a ci, którzy dziś ode mnie odstąpili, pierwsi pod nóż pójdą. Old Shatterhand.; i Winnetou niech zaś mnie strzegą; pochwyć ich bowiem i obedrę ze skóry, tak że ich lamenty i krzyki rozbrzmiewać będą po wszystkich dolinach i górach. Najstarsi z mego plemienia niech mi poświadczą. Tak powiedziałem. Howgh!

— Howgh! — potwierdzili jego towarzysze.

Odwrócili się i chcieli odejść, gdy nagle spostrzegli, że ich okrążono. Staruch wybuchnął gniewem:

— Dlaczego otoczyli nas uzbrojeni wojownicy? Czy knujecie zdradę i nie zamierzacie dopełnić umowy?

— Nie jesteśmy zdrajcami — odpowiedział Winnetou. — Okrzykliście was wojownikami, abyście się nie wycofali przed wysłuchaniem naszej odpowiedzi. Mój brat Old Shatterhand ma głos, gdyż wódz Apaczów jest przyjacielem czynów, a nie słów.

Podniosłem się i zwracając się do Vete-ya, przemówiłem:

— Vete-ya wygłosił mowę pełną złośliwości i pychy, a także błędów. Jest zarozumiały, albowiem nie potrafi docenić naszej łaskawości okazanej jemu i jego ludziom. Darowaliśmy im życie i wolność, on zaś mówi nam — w oczy, że będzie obdzierał nas ze skóry. Przemawiałem łagodnie, namawiałem do poprawy, a odniosło to skutek wręcz przeciwny. On, zwyciężony, grozi nam, zwycięzcom, że zdepcie nas i wymorduje. Czyż nie widzi, że jest jeszcze w naszej władzy, on i jego najstarsi wojownicy, którzy mu teraz przytakują? Kto nam zabroni złamać słowo, skoro i on nie ma zamiaru go dotrzymać?

— Musicie dotrzymać słowa! — przerwał gwałtownie.

— O, nie, wcale nie musimy! Mamy prawo powyrzelać ciebie i wszystkich twoich wojowników. Nie uczynimy tego, ponieważ lekceważymy was. Twoje groźby są niby skrzeczenie żaby. Jesteś słaby i stary, a wściekłość z powodu własnej niemocy dyktuje ci słowa, które prawdziwy mężczyzna puszcza mimo uszu, ponieważ są aż nazbyt dziecinne. Pozwolimy wam odejść, mimo waszej groźby, gdyż śmieszność jej nie rozgniewała nas, tylko wzbudziła litość. Powiedziałem też, że mowa twoja była pełna błędów. Mówiłeś, że Winnetou i ja jesteśmy przybłędami w tym kraju. Czy nie wiesz, że Winnetou jest naczelnym wodzem Apaczów, zamieszkujących olbrzymie obszary od Arizony do Wielkiej Mapimi i aż po Rio Pecos? Czyż Mimbreniowie nie są również szczepem Apaczów? I ty śmiesz twierdzić, że Winnetou jest obcy w tym kraju? Powiadam ci, Winnetou posiada więcej od ciebie praw do tej ziemi. Mówiłeś również, że nie potraficie podolać naszej broni. To prawda, ale są to jedynie trzy strzelby. Jeżeli całe plemię Jumów boi się trzech strzelb, świadczy to niezbyt pochlebnie o tobie i twoich wojownikach. Lecz jak często walczyliśmy przeciwko wam naszą bronią? Czy tą bronią zwyciężyliśmy? Dobro zwycięża, zło zawsze zawodzi. Pozostaniemy nadal dobrymi ludźmi, mimo twojej głupiej przemowy, ale kara was nie ominie, abyś nie sądził, że ułękliśmy się ciebie. Niechaj się zbliży do mnie mój młody czerwony brat.

Zwróciłem się do młodszego syna Nalgu Mokaszi, który natychmiast podszedł do mnie. Wziąłem go za rękę i rzekłem:

— Vete-ya miał nam za złe, że syna wodza Mimbreniów nazwaliśmy Tępicielem Jumów. Młodzieniec, którego trzymam za rękę, wyświadczył mi wiele przysługi okazał się wiernym, mądrym i wytrawnym wojownikiem. Słusznie otrzyma nagrodę. Niech dostąpi imienia, które nam będzie przypominać jego czyny. Pokonał Czarnego Bobra i zdobył jego skalp, przeto nadam mu imię Yuma Tsil, czyli Skalp Jumy. Proszę Winnetou i wszystkich wojowników Mimbreniów, aby to potwierdzili.

Rozległy się radosne okrzyki. Winnetou podniósł się, ujął chłopca za drugą rękę i rzekł:

— Młody dzielny wojownik zasłużył na imię Yuma Tsil. Jest moim bratem, jego przyjaciele lub wrogowie są moimi przyjaciółmi lub wrogami. Howgh.

— A więc spełniły się życzenia synów naszego przyjaciela — rzekłem. — Oto zdobyli sobie doskonałe imiona, które w przyszłości zasłyną między przyjaciółmi i wrogami. Vete-ya i jego wojownicy mogą już odejść. W imionach synów wodza Mimbreniów znajdą dowód, że się ich nie boimy. Powiedziałem. Howgh.

Dałem znak Mimbreniom, aby natychmiast przepuścili wściekłych i upokorzonych Jumów.

Nadaniu imienia towarzyszyło jak zwykle wypalenie fajki pokoju oraz inne tradycyjne obrzędy. Chłopcy byli bezgranicznie uszczęśliwieni i dumni, zwłaszcza z tego, że uzyskali imiona ode mnie i Winnetou.

Ojciec ich, nie mniej dumny i szczęśliwy, dziękował mi i prosił o wybaczenie niedawnego grubiaństwa. W dowód wdzięczności chciał zamiast Przebiegłego Węża odprowadzić nas do

granicy, a nawet dalej, i dostarczyć nam koni. Przystałem na to z radością i poczyniłem przygotowania do jutrzejszej wyprawy.

Nad ranem pożegnałem się serdecznie z Przebiegłym Wężem — narzeczona jego nawet teraz się nie pokazała — i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po długiej, uciążliwej jeździe dotarliśmy do granicy Teksasu. Rozdzieliłem pieniądze między emigrantów, nie zapominając oczywiście o Playerze. Teraz nareszcie nastął kres ich niedoli i rozpoczynała się dla nich nowa, skromna, ale jasna przyszłość.

Harry Melton zgodnie z życzeniem Przebiegłego Węża, miał ponieść śmierć przy palu męczarni, a jedynym łącznikiem między nim a historią emigrantów był list, który — jak zapewne czytelnik sobie przypomina — znalazłem w jego torbie, a który zatrzymałem przy sobie.